

WSPOMNIENIA BOLESŁAWA JOZEFA BIEGI

Dyktowane na taśmie w latach 1973-75 w Chicago
(redagowane przez syna Bolesława Krzysztofa Biega - w 1995r.)

Część 1 - Dzieciństwo i młode lata do przyjazdu do Kijowa w 1915r.

I - SANOK

Zaczynam od ustalenia pewnego rodowodu rodzinnego. Nazwisko rodzinne Biega. Pochodzimy z południowej Polski, z zakątka podkarpackiego, które określiłbym z grubsza zakreślając pewien trójkąt Sanok - Rzeszów - Przemyśl. Nawet bym to określił ściślej. Pochodzimy z okolic na podkarpaciu nad średnim biegiem rzeki San. Na południu Sanok, później Mrzygłód, Dynów. To jest zakątek Polski bardzo piękny, uroczy kraj, z którego pochodzimy. Nazwisko rodowe Biega jest nazwisko rzadko stosunkowo spotykane. Dowodem tego jest, dla przykładu, że w książce telefonicznej warszawskiej były tylko dwie pozycje "Biega". W moim rodzinnym Sanoku gdzie rozpocząłem chodzić do gimnazjum przez trzy i pół pierwsze klasy, było czterech Biegów - mój brat i ja, i dwóch naszych kuzynów najbliższych, synowie naszego stryja, starszego brata mojego ojca, Władysława Biega, który był dyrektorem szkoły w Dynowie.

Mój ojciec, którego uważam za seniora naszej rodziny Biegów, był jednym z czterech synów. O jego rodzicach nie wiele wiem bo umarli przed moim przyjsciem na świat, jeszcze jak mój ojciec był bardzo młody, i mało o nich się mówiło. Mój ojciec był najmłodszym w rodzeństwie. Najstarszy jego brat Kanonik Henryk Biega mieszkał w Przemyślu gdzie był rektorem seminarium duchownego. Następny brat Władysław Biega mieszkał w Dynowie gdzie był dyrektorem szkoły. Wreszcie następny brat Leopold Biega mieszkał w Sanoku i również był dyrektorem szkoły i też był kierownikiem ochotniczej straży pożarnej.

Kanonik Henryk opiekował się młodym rodzeństwem i kierował ich szkoleniem. Umarł kilka lat przed pierwszą wojną światową. Władysław, który mieszkał w Dynowie, miał 3-ch synów i kilka córek. Z synów najstarszy Wojciech był pisarzem, nawet pracował dla Kuriera Warszawskiego w pierwszych latach po pierwszej wojnie, i umarł młodo bezdzietnie. Drugi z rządu Stefan był równieśnikiem mojego starszego brata, też umarł bezdzietnie. Najmłodszy Władysław był dużo młodszy ode mnie i znikł mi z oczu, zupełnie z nim straciłem kontakt.

Mój ojciec, Stanisław Jan Antoni Biega, urodził się 13 grudnia 1862, w

Sanoku. Jego rodzicami byli Jan Biega i Antonina Czekańska. Ukończył gimnazjum w r.1882 w Przemyślu. Ukończył wydział prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie w r.1887 i wstąpił do służby skarbowej w Dyrekcji Okręgu Skarbowego w Sanoku. Tam się ożenił i założył rodzinę. Moja starsza siostra urodziła się w 1891 roku, potem mój starszy brat Stanisław 5-go września 1893, wreszcie ja 27-go kwietnia 1896-go roku.

Moja matka Maria Baumann była córką inżyniera Stanisława Baumanna i Jadwigi Lubowieckiej. Postać dziadka Baumanna żywo pamiętam. Był inżynierem pomiarowym. To znaczy wykonywał pomiary w terenie na podstawie których sporządzał mapy sytuacyjne które stanowiły legalną podstawę przy aktach kupna i sprzedaży i przy częstych w Polsce sporach o medze graniczne. Miał w Sanoku duży dom na skraju miasta w którym wiele czasu spędziłem w czasie dzieciństwa. Dom był obszerny o sześć czy siedem pokoi. Pokoje były wielkie. Za domem był obszerny ogród w którym rosły liczne stare drzewa, przeważnie owocowe, także owocowe krzaki, porzeczeki, agrest i tak dalej. Koło samego domu były kwietniki. Dom stał wysoko nad lekkim spadkiem. W stronę od domu była stajnia a w stajni świetnie zawsze utrzymany koń, piękny uprząż, bryczka, oczywiście też sanki. Ten ekipaż miał swoje stosowanie praktyczne

ponieważ był własnym środkiem komunikacji który służył do pracy zawodowej, także dla wyjazdów dla przyjemności a zwłaszcza do dalszych wyjazdów w lasy i na polowanie. Mój dziadek miał rozmaite zainteresowania, między innymi był bardzo zamięlowanym myśliwym. Polował na różnego rodzaju zwierzyny polnej i leśnej.

Dla mnie z całego domu najwięcej mnie interesował pokój dziadka. Był to pokój duży z oknami wychodzącymi na ogród. Był to pokój zarówno mieszkalny jak i kancelaria. Moje dziecinne oczy znajdowały tam wiele rzeczy do obejrzenia. W pokoju tym był duży stół czy biurko na którym leżały reisbrety, cyrkle, kątomierze, kątowniki, tusze czarne, niebieskie, czerwone, piórka służące do sporządzenia map. Na jednej ścianie przykryte, jak to wówczas było w zwyczaju, jakimś dywanem były w moich oczach pewne cuda. Był tam cały arsenał myśliwski, a więc strzelby, torby myśliwskie, trąbki metalowe i rogowe służące w czasie polowania do dawania znaków dla psów lub leśnych. Były ozdobą tej ściany różnej wielkości rogi. A poczesne miejsce zajmował Krzyż Wirtutu Militarii, pamiątka rodzinna, którym był oznaczony przodek mojego dziadka, który służył w wojsku polskim po okresie Kongresu Wiedeńskiego. Później gdy



Maria Biega z dziećmi Jacegiem, Stanisławem i Bolesławem, w Sanoku w 1903

mój brat Staszek służył w wojsku polskim w okresie walk w 1919 i 20 i był oficerem - przez jakiś czas był dowódcą czy zastępcą dowódcy pociągu pancernego "Smialy", został oznaczony Krzyżem Virtuti Militarii. Wówczas dziadek wręczył mu ten pamiątkowy medal. Mój brat bardzo cenił tę rodzinną pamiątkę i później przy okazjach bardziej uroczystych, przypinał właśnie ten order do swojego munduru a nie nowy krzyż. Ta cenna i droga pamiątka rodzinna zaginęła w zawierusie Drugiej Wojny Światowej tak jak większość naszych rodzinnych pamiątek.

Dziadek Bauman był mężczyzną wysokim, szczupłym, zawsze trzymającym się prosto. Miał niewielkie wąsy, brody nie nosił chociaż było w zwyczaju w tym okresie, że przeważnie mężczyźni nosili brody. Miał gęste do ostatniej chwili włosy, oczywiście przeproszone siwizną. Babki nie pamiętam, nic o niej nie wiem, gdyż umarła na wiele lat przed moim przyjściem na świat.

Z bliższej rodziny mojej mamy pamiętam braci. Starszy, zdaje się, brat Stanisław. Nie pamiętam gdzie mieszkał. Przypominam sobie że był również wysokim mężczyzną i miał dwoje dzieci - starsza równieśniczka mojej siostry, też się nazywała Jadwiga. Młodszy to chłopiec Tadzio Bauman. Młodszy brat mojej mamy to wuj Bolesław. O nim trochę więcej pamiętam. Pan też wysoki, szczupły z małą czarną bródką, zawsze dobrze ubrany. Był podobno faworytem mojej mamy i mówiono że mnie nadano imię Bolesław na jego cześć. Mieszkał stale w Krakowie, był urzędnikiem w Towarzystwie Ubziepieczeń Florianka. Miał w nowszej części Krakowa, tak zwanym Selwatorze, ładną willę w której byłem wiele razy. Miał córeczkę młodszą ode mnie. Najbliższy kuzyn mojej matki Alfred Lubowiecki miał mająteczek niedaleko Sanoka i jako dziecko byłem tam nieraz. Jak swoje rodzeństwo moja mama też była wysoka jak na kobietę, szczupła, miała duże wyraziste oczy i bujne czarne włosy. Była niestety wątłego zdrowia.

Myśmy mieszkali w Sanoku w wynajętym domu na skraju miasta. W tym czasie moje rodzeństwo chodziło do szkoły a ja, jako młody chłopiec siedziałem w domu, bawiłem się na podwórzu, chodziłem na spacer tam w polu, ciągnęło mnie zawsze ku linii kolejowej gdzie lubiałem patrzeć na pociągi. Kiedy zdarzyło się nieraz, niezbyt często bo było dość daleko, że wyszedłem na spacer i dotarłem do dworca kolejowego, była radość nieopisana! Również doskonale pamiętam przygotowania rodziców przed wybieraniem się na nabożeństwo nocne w grudniu. Było to uroczyste nabożeństwo z racji przełomu dziewiętnastego na dwudziesty wiek. Wtedy, oczywiście nie zdawałem sobie sprawy że jeden wiek się kończy i nowy się zaczyna, ale pamiętam te przygotowania.

Parę słów o samym Sanoku. Sanok to miasto położone bardzo pięknie na lewym brzegu, bardzo wysokim brzegu Sanu, właściwie to nie brzeg rzeki ponieważ San płynie w dolinie, było to wzgórze, jedno ze wzgórz otaczających tę dolinę. Miasto stare, bo założone już w XIV-yim wieku, leżało na tej wzgórze i jeszcze wyższa góra, na której jest park miejski, podnosi się ponad miastem. Sanoczanie, jak to parę lat temu w Nowym Jorku słyszałem od członka naszej Rady Jedności w Stanach Zjednoczonych sanicznina, trzymają się dość razem i

prowadzą akcję ogólną. Sanocznianie zaznaczali się w latach niepodległości pewną sprężystością, wielu sanocznian zajmowało poważne w Polsce stanowiska, zwłaszcza w wojsku, a nawet jeden z marszałków Sejmu pomajowego w Polsce, pan Switalski, był z Sanoka.

Moja mama zaprzyjaźniła się z rodziną Pohlmanów. Oni mieli duży majątek ziemski, zwany Terka, za lasami, za górami, za Baligrodem w stronę granicy węgierskiej. Tam spędziłem dużo miłych i ciekawych dla mnie chwil. Raz spędzałem tam kilka tygodni. Dziwne że w mojej pamięci, widzę je tak wyraźnie jak gdyby się odbyło wczoraj a nie prawie 70 lat temu. Pohlmanowie to polska rodzina i ci Polacy absolutnie jedyjni w całym otoczeniu czystko ruskim. Był tam dworek w dużym bardzo ogrodzie i sadzie położony, dość daleko od zabudowań gospodarczych. Była tam niedaleko piękna stara modrzewiowa cerkiew greckokatolicka. Ksiądz polskiego też tam nie było, był ksiądz ruski greckokatolicki. Parafia polska była w odległości kilku kilometrów we wsi Wolkowija. Do tego kościoła często się nie jeździło, natomiast na nabożeństwa w tej cerkwi greckokatolickiej bywali. Zresztą groby rodzinne były w cmentarzyku w obrebiu cerkwi. Ciekawi ludzie tam mieszkali. Wspominam babcię Krajewską. Babcia Krajewska była osobą starszą o mlecznych białych włosach zawsze przykrytych czapczkiem. Robiła ręczne piękne koronki. Też tam poraz pierwszy jeździłem konno. Jak mały chłopiec dano mi konia, kucyka zapewne. Nauczyłem się jeździć i zaprzęgać konia. Była to samowystarczalna gospodarka. Wozy budował stelmach na miejscu, a koła kował okrywał obręczami. Dziesięć lat później wyjechałem do Terki jeszcze raz z Lwowa na wakacje i jeszcze lepiej się zapoznałem z gospodarką wiejską w tym zakątku Polski.

Jeżeli moje wspomnienia z życia w Sanoku nie są bardzo obfite to dlatego że byłem tylko dzieckiem. Z Sanoku wyjechaliśmy gdy miałem tylko sześć lat, wróciłem później na trzy lata żeby chodzić do gimnazjum, ale o tym potem.

Wyjazd z Sanoka nastąpił z racji przeniesienia mojego ojca do dyrekcji skarbowej w Kołomyji¹. Było to połączone z awansem osobistym do rangi radcy. Wyjechaliśmy więc do środowiska miasta zupełnie obcego. Kołomyja to miasto większe od Sanoka, miasto powiatowe Pokucia. Miasto miało skład ludnościowy zupełnie odmienny od Sanoka. Polacy liczbowo byli przyduszeni przez Rusinów i był też duży odsetek ludności żydowskiej. W tych warunkach początki dla rodziców były trudne. Ojciec łatwiej sobie to życie mógł zorganizować, miał nowych kolegów biurowych i jak zwykle zainteresowanie Sokołem. Mama była tu w sytuacji trochę trudniejszej. Życie w Sokole które normalnie skupiało ludzi podobnych zainteresowań, tutaj zarysowało się trochę inaczej. Sokół miał swoją ładną siedzibę, ale była bardzo daleko, po przeciwnej stronie miasta. Bywała więc tam mama i my na rozmaitych wieczorynkach, ale z rzadka. Atmosfera wspólnoty towarzyskiej była właściwie dla miejscowych, obcy trudno tam wchodził

¹ Według Słownika Biograficznego to nastąpiło w 1903.

zwłaszcza jeśli bywali, jak mama, dość rzadko. Mama nawiązała oczywiście te stosunki tu i ówdzie, szczególnie zaprzyjaźniła się z rodziną jednego z profesorów gimnazjalnych. Atmosfera tam widocznie jej bardzo odpowiadała, w domu był pan domu, pani matka i trzy córki. Najstarsza córka była właściwie dorosłą panną. Dwie młodsze były w różnym wieku, jedna młodsza od mojej siostry, druga trochę starsza. Stosunki się zaczęły, wzajemnie odwiedzano się dość często.

Zamieszkaliśmy w Kołomyży na skraju miasta w domu czynszowym, wprawdzie domu tylko jedno-piętrowym, ale dużym, tak że było tam wiele mieszkań. Za domem było duże podwórze a za podwórzem bardzo duży ogród oddzielony od pola parkanem. Ale parkan jest małą przeszkodą dla bawiących się dzieci. Dzieci łatwiej nawiązują stosunki, łatwiej dają sobie radę. Tak więc w lecie było jako tako, ale w zimie było gorzej. Pozostała tylko ślizgawka. Mama bardzo lubiła tą ślizgawkę i chodziła sobie często, ja też dostałem pierwsze łyżwy. Oczywiście mama jeździła w długiej sukni, w żakiecie i strojnym kapeluszu, inni też tak byli ubrani. O kostjumach sportowych dla pań wtedy nie było mowy. Panowie, którzy dla przyjemności jeździli na rowerach, zaczęli trochę odpowiednio się ubierać. Nosili krótkie spodnie z pończochami, na głowie mieli czapeczki zwane cyklistówkami, ale pozostał wysoki sztywny kołnierz i krawat.

W domu mama zajmowała się domem, oczywiście nami i starała się to jakoś urozmaicić. Jadzia pobierała lekcje muzyki, gry na fortepianie. Nie wiem czy to dopiero tam się zaczęło, czy jeszcze w Sanoku, przychodziła w każdym razie nauczycielka. Fortepian był w domu. Poza lekcjami Jadzia odbywała swoje ćwiczenia palców przy pomocy i pod nazorem mamy. I mną mama się zainteresowała. Dostałem małe szrypce, zaangażowano nauczyciela do nauki i zacząłem uczyć się gry na skrzypcach. Ciężko to szło i wyraźnie nie miałem uzdolnień, zainteresowań muzycznych, tak że po pewnym czasie te lekcje przerwano.

W lecie to była inna sprawa, kobiety nie brały udziału w życiu sportowym, natomiast ojciec i my chłopcy wyruszyliśmy nad rzekę. W Kołomyży rzeka Prut była trudna i kapryśna, ale była tam przystań Sokoła z zatoką zagrodzoną od głównego prądu kamienną barierą, zdaje się że to była część wysiłku regulacji rzeki. W zatoce było miło i przyjemnie spędzaliśmy czas. Brałem tam pierwsze lekcje pływania. Nauczyłem się pływać i zacząłem trenować na łódkach. Powszechny sprzęt wioślarski to były kajaki, jedno, dwu lub trzyosobowe. W kajaku już łatwiej sobie z rzeką dać radę. Wyjeżdżało się na rzekę dwu czy trzosobowy, kajakiem z kimś starszym. Ale jak przywikliśmy do tego i oswoiliśmy się z wodą to Staszek i ja jeździliśmy też na jedno-osobowych kajakach.

Zmogły się ogólne zainteresowania mego ojca. Na świecie była wojna rosyjsko-japońska, w związku z tym były ruchy rewolucyjne, co odbiło się także w życiu publicznym w Polsce. Mój ojciec był zwolennikiem ideologii kierunku ogólnie narodowego, był członkiem Stronnictwa Narodowo Demokratycznego. Pewnie już w Sanoku tymi rzeczami się interesował i zajmował. Jednym z elementów który się przyczynił do wzmożenia tych zainteresowań była

okoliczność wprowadzenia powszechnego prawa wyborczego w Austrii. Więc wybory do sejmu krajowego, tak zwane powszechnego, we Lwowie i wybory posłów do parlamentu w Wiedniu. W związku z tym ożywiona działalność publiczna, przygotowania wyborcze, wybór kandydatów, i tak dalej. W sumie, praca biurowa, zainteresowanie Sokołem, wzmożone zainteresowanie życiem politycznym i społecznym, sprawiły że ojciec coraz rzadziej przebywał w domu, stawał się raczej gościem, a w życiu towarzyskim moja mama przeważnie przebywała sama. Ot tak krótko powiedziałem o nieprzytulnej atmosferze w miejscu mieszkania w nowym skupisku, w którym nie mogliśmy sobie znaleźć swojego właściwego miejsca. Na wiosnę roku następnego mama zabrała nas na Wielkanoc do Sanoka do dziadka. Byliśmy spowrotem w swojej atmosferze w Sanoku, był to pobyt krótki ograniczony feriami szkolnymi, bo nawet ja już chodziłem do szkoły, na wiosnę tego roku do pierwszej klasy szkoły powszechnej. Niestety, jak się później okazało, był to ostatni pobyt mamy w Sanoku. Po Wielkiejnocy wróciliśmy to tej nieprzytulnej atmosfery w Kołomyji i życie potoczyło się jak przed chwilą określiłem - kulawo.

Stan zdrowia mojej mamy się pogarszał, tak że na przyszłą zimą, dla poratowania zdrowia, pojechała na południe nad Adriatyk do Dalmacji. Po powrocie czuła się lepiej ale atmosfera życia w domu nie była wyraźna. Nie bardzo sobie z tego zdawałem sprawę ale jednak wyczuwałem że stosunki domowe się psuły. Wreszcie kryzys domowy wybuchł jawnie. W czwartym roku pobytu w Kołomyji moi rodzice postanowili się rozejść. Kryzys ten przeżyłem ciężko. Rozstanie się moich rodziców, oczywiście nie miało charakteru legalnego, oczywiście o rozwodzie w tych czasach nie było mowy, nie nastąpiła też legalna sądowa separacja. Rozstanie się było uwarunkowana wzajemnym wspólnym ułożeniem jego warunków.

Rodzice po rozstaniu się oboje wyjechali do Lwowa, oczywiście we Lwowie zamieszkali oddzielnie². Dlaczego wyjechali do Lwowa jest i było dla mnie zawsze jasno. Dla ojca wyjazd do Lwowa napewno był w projekcie od dłuższego czasu. Po pierwsze miał ambicje żeby odegrać większą rolę w organizacji Sokoła. Centrala była w Lwowie. Po drugie miał ambicje polityczne. W Kołomyji bazy nie miał. Był członkiem Stronnictwa Narodowo Demokratycznego i chciał być blisko centrali w Lwowie. Mój ojciec podał się do dymisji i zrezygnował ze służby państwowej. Pojechał do Lwowa i wstąpił do redakcji Słowa Polskiego. Słowo Polskie był poważnym dziennikiem w Galicji, spółka wydawnicza prywatna o charakterze narodowo-demokratycznym, aczkolwiek nie był żadnym organem oficjalnym tego stronnictwa. Najwybitniejsi przedstawiciele tego ruchu pisali w tym dzienniku. Pismo wychodziło dwa razy dziennie o formacie dużym. Wydanie poranne miało cztery strony i zawierało najważniejsze wiadomości,

² Według Słownika Biograficznego ojciec wyjechał do Lwowa w 1905, rezygnując z swojej pozycji w Urzędzie Skarbowym. Wobec tego przebywał w Kołomyji maksimum 3 lata.

ostatnie telegramy. Wydanie popołudniowe było obszerne, wiele stronicowe i pokrywało zainteresowane polityczne, ekonomiczne, kulturalne. Tak więc mój ojciec, według ułożonego planu poszedł do centralnej roboty w Sokole, Przeszedł do centrali życia politycznego we Lwowie i bazą ekonomiczną było stanowisko jakie otrzymał w redakcji Słowa Polskiego.

Dlaczego mama wyjechała do Lwowa nie wiem i wówczas nie wiedziałem. Myślę że nie miała ochoty na powrót do Sanoka, do środowiska w którym się urodziła i wyrosła z tą swoją krzywdą, ze swoim zawodem. Wydaje mi się że miała w tym jakieś porozumienie ze swoim ojcem i z rodziną. Miała dość prowincjonalnego życia, a jedyne miasto do którego można było wyjechać to Lwów - stolica Galicji - duże miasto liczący wówczas około 200 tysięcy mieszkańców. Też jadąc do Lwowa wiedziała że, szukając warunków nowego życia będzie miała poparcie przyjaciół. Od dawna była bardzo zaprzyjaźniona z rodziną Lenkiewiczów którzy we Lwowie mieszkali.

A co z nami? Staszek i ja zostaliśmy wysłani do Sanoka na najbliższy rok szkolny to jest na wrzesień roku 1906 i tam umieszczeni w internacie. Był to internat w którym mieszkali uczniowie którzy chodzili do miejscowego gimnazjum. W tym internacie opiekę nad uczniami sprawował młody profesor gimnazjum sanockiego i miejscowy katecheta. Obaj mieszkali na miejscu. Stroną gospodarczą zajmowały się siostry zakonne. Wszystkie opłaty, kupowanie ubrań i tak dalej załatwiał z ramienia ojca stryj Leopold. Nie miał z nami dużo kłopotu; zapłacił rachunki i decydował czy nowe ubranie potrzebne czy nie. Nosiliśmy mundury, w całej Austrii mundury były take same, tego samego kroju, tego samego materiału. Więc jak potrzebny nowy mundur tylko trzeba iść do krawca i kazać mu nowy mundur zrobić. Były ciemno szare spodnie, ciemno granatowa kurtka zapinana pod szyję ze sztywnym kołnierzykiem. Na tym kołnierzu oznaki, od klasy pierwszej do czwartej srebrne, od piątej to ósmej złote paski. Jeden pasek w pierwszej klasie, dwa w drugiej i tak dalej. W piątej jeden pasek złoty, aż w ósmej cztery paski złote. Czapki były sztywne z daszkiem podobne do czapek oficerów austrjackich, bym powiedział dość podobne do francuskiej *kepi*. Na tych czapkach były odznaki szkolne, mianowicie stylizowane metalowe litery G.

Mieszkaliśmy w internacie, rano na dzwonek zbieraliśmy się na podwórzu i parami pod opieką nauczyciela szliśmy do szkoły. Ze szkoły wracaliśmy luzem ponieważ różne klasy kończyły swoje zajęcia w różnych godzinach. Poza tym zajęcia jak w każdym internacie, godziny nauki, godziny rekreacji, wspólne posiłki. Tylko na święta lub w niedzielę wychodziliśmy z wizytą do dziadka lub do stryja Leopolda na parę godzin. Było to połączone oczywiście z obiadem lub podwieczorkiem. O godzinie piątej musieliśmy być spowrotem w internacie. W innych okazjach, zwykle w lecie, były wspólne wycieczki, często na drugą stronę rzeki San na piękną górę Królewską. I tak to życie się toczyło. Na ferie wyjeżdżaliśmy na krótko do Lwowa i stamtąd wracaliśmy do internatu. Czasami przyjeżdżał ojciec, spotykaliśmy go, jak sobie przypominam u dziadka. Stosunki były dobre, rozmowa była normalna, mimo wszystko wydaje mi się że ta

katastrofa rodzinna nie zerwała zupełnie stosunków mojego ojca z dziadkiem. Mama nigdy nie przyjechała, nie chciała wracać do Sanoka.

Mama, wyjeżdżając do Lwowa, zabrała ze sobą Jadzię. Zanim urządziła sobie mieszkanie zaszło trochę czasu i na ten czas Jadzia została umieszczona w szkole prywatnej klasztornej z internatem. Kiedy mama zorganizowała sobie mieszkanie, zabrała Jadzię do siebie. Wtedy Jadzia poszła do prywatnej szkoły pani Zofii Strzałkowskiej. Była to największa prywatna szkoła we Lwowie o bardzo dobrej reputacji jako zakład naukowy. Miała ona pomieszczenie zupełnie nowe, świeżo zbudowany gmach dwu piętrowy. Było tam gimnazjum i seminarium nauczycielski. Był też i internat, głównie dla uczniów z poza Lwowa.

W tym czasie mamę widywałem bardzo mało, w Lwowie bywałem rzadko na krótkie okresy. Jedną troską naszą, nas wszystkich, było zdrowie mamy. Coraz bardziej się jednak to zdrowie pogarszało. Mama była chora na gruźlicę płuc, tak że w ostatnim roku mama przebywała poza Lwowem okresowo w miejscowości klimatycznej w Brzuchowicach koło Lwowa. Brzuchowice była miejscowość co do warunków klimatycznych bardzo podobna do Otwocka pod Warszawą, tylko o wiele przyjemniejsza i ładniejsza. Mimo wielkich wysiłków ratowania mamy, ratunku nie było, także w drugiej połowie sierpnia 1908 roku przyszła katastrofa. Mama umarła. Było to pierwsze moje w życiu zetknięcie się ze śmiercią bliskiej osoby, przeżyłem to bardzo głęboko. Mama nie żyje. Pogrzeb odbył się we Lwowie na cmentarzu Łuczakowskim. Przybili z rodziny i przyjaciele ojca i mamy.

Po tym smutnym bardzo obrzędzie, jakieś parę dni jeszcze zostało do rozpoczęcia roku szkolnego. Na krótki czas stryjenka Kamilla zabrała ze sobą Jadzię i nas chłopców do Sanoka. Wkrótce musiała jednak Jadzia wracać do Lwowa bo był to ostatni rok jej nauki i chodzenia do szkoły. Jadzia miała wtedy 15-cie lat. Jadzia wróciła do szkoły w zakładzie pani Zofii Strzałkowskiej, tym razem jednak wróciła tam do internatu. W internacie została do końca swojej nauki, po której u pani Strzałkowskiej dostała posadę nauczycielki i jakieś obowiązki w kierowaniu internatu. Tak że została u pani Strzałkowskiej i tam spędziła resztę swoich lat we Lwowie i tam przeżyła okres pierwszej wojny światowej.

Powróciwszy do internatu i do szkoły w Sanoku, długi czas byłem pod wrażeniem śmierci matki. Jakoś przeżyłem ten okres osierocenia dość ciężko. Ale niedługo zaczęło się nowy okres w moim życiu osobistym. Ojciec był pochłonięty pracą w Sokole, gdzie w tym czasie był wybrany do Władzy Zwierzchniej, tak się nazywało przewodnictwo organizacji, gdzie objął stanowisko Sekretarza Generalnego. Jak wiadomo wszędzie sekretarz generalny jest osobą na której opiera się większość pracy organizacyjnej. Był też ojciec redaktorem wydawanego przez Sokół pisma periodycznego, miesięcznika, który nie tylko redagował ale i wypełniał swoimi osobistymi artykułami. Pracował oczywiście w dalszym ciągu w swojej organizacji politycznej, a w pracy zawodowej jest w redakcji Słowa Polskiego, gdzie prowadził dział prowincjonalny. Miał ku temu właśnie specjalne

kwalifikacje bo przez pracę w Sokole miał bardzo szerokie kontakty z życiem na prowincji.

W tym czasie spółka wydawnicza także rozwinęła się bardzo szeroko, dotychczas miała siedzibę w wynajętym lokalu na ulicy Wołoszczyzna, gdzie mieściła się drukarnia i redakcja. Obecnie przystąpiono do budowy nowej własnej siedziby, którą wykończona mniej więcej w tym czasie, gdzieś koło 1908 roku. Był to piękny nowy gmach trzy piętrowy przy ulicy Zimorowicza 17 w samym centrum Lwowa. Ulica Zimorowicza była w najbliższym sąsiedztwie lwowskiej ulicy promenady - ul. Akademika, która się ciągnęła od uniwersytetu do placu Mariackiego, na którym stał pomnik Mickiewicza. Na parterze i pierwszym piętrze mieściła się administracja i redakcja Słowa Polskiego. W oficynach była drukarnia i składy papieru. W drukarni wprowadzono nowe urządzenia pracy wydawniczej, przeszło się ze składu ręcznego w dużej mierze na skład mechaniczny, zainstalowano pierwsze we Lwowie linotypy.

Na piętrze drugim były dwa mieszkania. Jedno większe zajął Redaktor Naczelny pisma Zygmunt Wasilewski z rodziną. Drugie mniejsze mieszkanie otrzymał mój ojciec. Na trzecim piętrze było mieszkanie Dyrektora Administratora pisma. W ten sposób stworzyły się warunki do zamieszkania razem. Ojciec postanowił sprowadzić mnie do Lwowa. W połowie roku szkolnego 1910 zostałem przeniesiony do Lwowa. Byłem wtedy w czwartej klasie gimnazjalnej.

II - ŻYCIE WE LWOWIE

Sanok opuściłem zupełnie obojętnie, choć zachowałem sentyment i poczucie przynależności do stron rodzinnych. Z dziadkiem, dla którego przeżyłem szczere uczucia i szacunek, pożegnałem się czule. Ze stryjem Leopoldem rozstałem się dziękując mu za dotychczasową opiekę. I ruszyłem potroszę w nieznaną. W lutym 1910 roku rozpoczął się mój nowy okres życia. Poszedłem do państwowego gimnazjum, do Gimnazjum Trzeciego. Było zaś w owym czasie osiem państwowych gimnazjów we Lwowie i dwa prywatne.

Z radością przyjąłem tę zmianę ale wszystko miało być dla mnie zupełnie nowe. Lwów jako miasto trochę znałem, ale z życiem w wielkim mieście musiałem się poznać powoli, powoli w nie wchodzić. Szkoła była też nowością. Nowi koledzy, nowi profesorowie, nowa atmosfera, a pewnie Lwowianie byli nieco odmienni od moich dotychczasowych zrównoległych kolegów jak i profesorów w prowincjonalnym Sanoku. Do szkoły miałem niedaleko, krótka ulica Zimorowicza prowadziła do Akademickiej, kilkadziesiąt kroków Akademicką do ulicy Fredry, też krótkiej, która prowadziła mnie na ulicę Batorego, przejście przez ulicę i już byłem w szkole. Pierwszy raz do szkoły szedłem trochę z duszą na ramieniu, bo nie wiedziałem jak będę przyjęty. Nie znałem tam absolutnie nikogo. Nowy uczeń jest zawsze trochę sensacją, zwłaszcza nowy uczeń, który przychodzi w połowie roku. Jakoś przebrnąłem przez to pierwsze spotkanie bez żadnych zgrzytów. Jak będzie z nauką nie wiedziałem. Poziom był niewątpliwie wyższy niż w Sanoku, ja jednakowoż w Sanoku byłem zawsze prymusem, więc miałem nadzieję że dam sobie radę. I istotnie wszedłem w nowy tryb życia szkolnego i przebrnąłem przez to pierwsze półrocze z wynikiem bardzo zadawalającym i bardzo dobrym.

Pierwsza przyjaźń jaką zawarłem, było to z synem redaktora Wasilewskiego, z Tadeuszem. Mieszkaliśmy przez ścianę. Tadeusz też chodził do tej samej szkoły ale do klasy trzeciej bo był o rok młodszy. Szybko jakoś zrozumieliśmy się i przeczuliśmy że mamy dość podobne zainteresowania. Tak więc Tadeusz stał się pierwszym przewodnikiem po zakamarkach życia młodzieżowego we Lwowie. Był lwowianinem nie z urodzenia, ale mieszkał już we Lwowie co najmniej dziesięć lat, znał wszystkie kulisy i zakątki, które były potrzebne nam do rozwijania się w sposób normalny i spędzanie poza nauką wiele przyjemnych chwil. Tak więc rano pędziliśmy razem na ulicę Batorego aby być przed pierwszym dzwonkiem na godzinę ósmą w klasie. Tak opisałem dość szczegółowo te pierwsze kroki dlatego że była to ważna zmiana w moim życiu i z zadowoleniem mogę powiedzieć że układało się to życie zupełnie dobrze i normalnie.

Pierwsze większe ważniejsze przeżycie moje miało miejsce w lipcu 1910 roku. Mianowicie była wielka manifestacja ogólnonarodowa patriotyczna, bardzo uroczysta, obchód 500-lecia zwycięstwa pod Grunwaldem. Obchód był urządzony w Krakowie. Był bardzo starannie przygotowany. W przygotowaniu tego obchodu

dużą rolę odegrał właśnie Sokół. Obchód był połączony odsłonięciem pomnika króla Władysława Jagiełły. Pomnik został postawiony głównie z daru Ignacego Paderewskiego. Był to spizowy odlew rzeźby przedstawiającej króla Władysława na koniu na wysokim cokole. Koń i jeździec były wielkości naturalnej, a u stóp konia leżał powalony rycerz krzyżacki. Obchód 10 lipca w odświeżeniu przystrojonym Krakowie odbył się szczęśliwie przy słonecznej pięknej pogodzie. Ściągnął do Krakowa wiele tysięczne przedstawicielstwa z całej Polski a głównie jednak z Galicji. Obchód rozpoczął się mszą polową na Błoniach, poczem uformował się pochód. Na czele pochodu przedstawiciele miast Krakowa i, w akademickich strojach, przedstawiciele Uniwersytetu Jagiellońskiego. Dale czoło pochodu formowała kilka tysięczna kolumna Sokoła, barwna w strojach sokolich, na czele której szły władze naczelne Sokoła, wśród których był oczywiście mój ojciec. Karna kilku tysięczna kolumna marszerowała w swoich strojach sokolich, a ci na których nie było stać kupić cały mundur szli w szeregach w swoich ubraniach cywilnych ale wszyscy nosili na głowie czapkę sokoła, rogatywkę z piórkiem sokolim. Szły też i kobiety, ale kobiety nie nosiły mundurów, były w swoich własnych strojach do których były przypięte wstążki białe w czerwonym uramowaniu na której był napis miejscowości swojego gniazda. W pochodzie wzięły udział naturalnie także inne organizacje jak korporacje rzemieślnicze ze swoimi sztandarami, korporacje studenckie, przedstawiciele innych organizacji i na końcu szpaler młodzieży szkolnej miejscowej.

Pochód ten oglądałem z okien Florianki z biura mojego wuja Bolesława. Pozycja była doskonała bo niedaleko Barbakanu a więc pomnika Jagiełły. Pochód szedł Plantami które właśnie tam skręcały i akurat tam w tym miejscu miałem widok pochodu w rozmaitych momentach. Po południu odbył się na boisku sportowym publiczny pokaz gimnastyczny. Złożyły się no to rozmaite marsze, ułożono rozmaite figury. Odbywały się ćwiczenia wolne, ćwiczenia z maczugami i bardzo efektowne ćwiczenia z lancami. Uczestnicy byli wszyscy jednakowo ubrani w swoich strojach gimnastycznych, w obcisłych długich granatowych spodniach i w białych koszulkach.

Należy podziwiać że zespół tysięczny biorący udział w tym okazie ćwiczebnym, był złożony z drużyn z rozmaitych miejscowości a znalazł się razem dopiero w Krakowie. Ta praca organizacyjna przygotowania do rozmaitych figur, dostosowanych do pewnej muzyki, musiał być w porę opracowany. Wysłanie do środowisk, pracę tą wykonała centrala we Lwowie. Jak na taką organizację, ta komórka organizacyjna złożona z bezpłatnych wolontariuszy i urzędników jakoś działała. Robota ta musiała być zrobiona w godzinach poza biurowych, a więc wieczorami, była naprawdę imponująca, widząc na miejscu, widziałem później i na filmie, wrażenie było naprawdę bardzo duże. Nie mówiąc o innych wielkich przygotowaniach, musieli wszyscy zjechać, musieli być zakwaterowani, to wszystko musiało razem grać, i tę robotę dokonał Zarząd Centralny we Lwowie. Wtedy ta organizacja była u szczytu swojego rozwoju, organizacja wykazała wielką sprawność i żywotność. Wkład organizacji Sokoła w

ruchu narodowym w dążeniu do odzyskania zpowrotem niepodległości jest wielki i o nim należy pamiętać.

Po uroczystach grunwaldzkich wróciłem oczywiście do Lwowa do swojego normalnego trybu życia. Były wakacje więc spędzałem czas na powietrzu jak się dało. Sokół miał we Lwowie wiele gniazd, wiele gmachów. Główny gmach to był Sokół Macierz. Jak nazwa wskazuje to było pierwotna organizacja lwowska. Szczęście, czy poprostu bieg okoliczności że ten gmach z pięknymi salami i treningami, znajdowały się przy ulicy Zimorowicza po przeciwnej stronie ulicy przy której ja mieszkalem. Ale boisk tam nie było, przecież trudno sobie wyobrazić aby boiska były w samym środku miasta. Macierz miał swoje piękne boiska sportowe o pięknych rozmiarach bliżej skraju miasta.

Miałem rower, mogłem więc tam jeździć. Można tam było grać w tenisa, można było uganiać po bieżni, skakać po skoczniach. Ale było to lato, jednak myślało się o pływaniu, o łódki. Niestety we Lwowie nie ma na to zupełnie warunków; niema wody, niema rzeki. Gdzieś tam na skraju miasta był jakiś staw w którym można było się kąpać lub popływać, ale, pozał się Bogu, to nic więcej, (a w 1910r. jeszcze sztucznych basenów nie było). We Lwowie więc byliśmy ładowcami. Na wodę nie było miejsca, choć Lwów jest pięknie położony na szeregu pagórkach. Lwów można obejść całkiem dokoła lasami nie wychodząc na ulicę. Korzystaliśmy z tego później dla najrozmaitszych ćwiczeń, a w zimie korzystaliśmy dla sportu naciarskiego.

Zycie moje nadal toczyła się normalnie. W szkole stosunki ułożyły się zupełnie dobrze. Przebrnąłem przez to pierwsze półrocze, wszedłem w ramy naszej klasy i zostałem uznany za "swojego". Tak samo grono nauczycielskie ustosunkowało się do mnie w sposób zupełnie normalny. Miałem stosunki dobre ze wszystkimi, żadnych konfliktów nie miałem. Nauka też szła torami zupełnie normalnymi, tak że życie było spokojne bez żadnych wstrząsów, a jednak ciągle coś nowego się działo. Ojciec kładł zawsze duży nacisk na naukę języków. Oczywiście język niemiecki był językiem obowiązkowym w gimnazjum od pierwszej do ósmej klasy. Więc język niemiecki uczyliśmy się w szkole, podstawowe zasady gramatyki, w miarę czsu też poznaliśmy się z literaturą niemiecką. Jeżeli chodzi o rozmowę to było z tym trochę gorzej.

Jeszcze w Sanoku byłem naciskany przez ojca ażeby zaczął uczyć się francuskiego. Wtedy dostałem pierwszy dobry podręcznik, samouczek. Wkuwałem słówka i formy gramatyczne, szło to opornie jednakowoż przy dobrych chęciach jakieś rezultaty osiągnąłem. We Lwowie dopiero w klasie piątej dostałem nauczycielkę języka francuskiego. Została zaangażowana francuska mieszkająca we Lwowie. Moja francuska była osobą bardzo inteligentną, dobrze kwalifikowaną, miała duże zdolności pedagogiczne. Nauka systematyczna, trzy razy w tygodniu po dwie godziny, traktowana indywidualnie nie w żadnej grupie, naturalnie musiała dać lepsze rezultaty aniżeli nauka w jakimś zespole. Moja nauczycielka, choć mieszkała parę lat w Polsce, języka polskiego prawie nie znała. To było wielką zaletą bo w mojej nauce była wyłącznie lekcja w języku

francuskim. Więc postępy były dość szybkie i dobre. Niestety zupełnie niespodziewanie nastąpiła przerwa, mianowicie w lecie roku 1913-go moja nauczycielka wyjechała do Francji tylko na wakacje. Pod koniec wakacji jednak zawiadomiła nas że jest chora i powrót jej się opóźni. Czekaliśmy na jej powrót, który jednak nie nastąpił, więc do Polski nie przyjechała. Nowej nauczycielki ojciec nie zaangażował ponieważ był to ostatni rok mojej nauki, matura była na karku i trzeba się było więcej przyłożyć do nauki. Tak że przed zupełnym wygładzeniem mego francuskiego nauka ta została przerwana. Pracowałem nad tym sam ażeby nie tracić tego co już umiałem.

Poza szkołą i innymi zainteresowaniami jak chodzenie do teatru, kina i tak dalej wszystko szło sobie normalnie w lecie. Co z zimą? Chodziłem na ślizgawkę. Ale ja i moj przyjaciel Tadzik chodziliśmy na ślizgawkę głównie wieczorami. Było tam bardzo przyjemnie, każdy się ślizgał jak umiał lepiej czy gorzej, trochę uprawialiśmy jazdę figurową, trochę jazdę szybką. Wieczorem przeważnie grała muzyczka, mała orkiestra, nie muzyka z płyt, tak że spędzaliśmy czas bardzo przyjemnie, były to miłe spotkania towarzyskie. W dzień przyszło coś nowego. Poraz pierwszy spotkałem się z nartami. Narty miały specjalne dobre warunki we Lwowie, bo tereny były świetne, w samym nieście i w najbliższej okolicy, a góry były niedaleko bo zaledwie 80 kilometrów na południe.

Wycieczki w góry były raczej rzadkie, jazda na nartach codzienna odbywała się w samym Lwowie. Mogliśmy zakładać narty w bramie przy ulicy Zimorowicza 17, ostatni dom przy tej ulicy, i zaraz obok była bardzo stroma ulica Kalecza prowadząca na Cytadelę. Dostawszy się na cytadelę, trudny zjazd w dół i dalej w pole do parku Stryjskiego. W drodze powrotnej przeważnie wracaliśmy ulicą, ale często też i ten sam sposób, wdrapywaliśmy się na cytadelę, ulicą Kaleczą na dół, skręcaliśmy ostro na prawo i byliśmy już pod bramą w domu. Trzeba powiedzieć że ten zjazd nawet dość trudny ale nie przedstawiał specjalnego niebezpieczeństwa, bo żadnego ruchu kołowego tam nie było, samochodów na ulicy nie było, najwyżej od czasu do czasu mogła tam się znaleźć jakaś dorożka.

Od czasu do czasu, kiedy były dwa dni wolne od szkoły wyjeżdżaliśmy także w góry. Punktem wyjściowym było zawsze Skole. W Skolim było urządzone bardzo porządnie Schronisko Karpackiego Towarzystwa Narciarzy, którego członkami byliśmy Tadzik i ja, płaciliśmy składki, mieliśmy legitymacje i klubowe odznaki.

Po południu wyjeżdżaliśmy pociągiem z ekwipunkiem sportowym ze Lwowa do Skole, było to około trzy godziny jazdy. Przyjeżdżaliśmy wieczorem do schroniska. Gospodarz i jego żona gotowali i można było coś do zjedzenia kupić. Nocleg był na miejscu, były dwie czy trzy sale w których były łóżka. Rano wcześniej wstawaliśmy i szliśmy na wycieczkę narciarską. Zawsze mieliśmy jakiś cel, jakiś szczyt na który musieliśmy oczywiście wyjść o własnych siłach. Było to jednakowoż poważne przedsięwzięcie, wyjście na taki szczyt trwało dobrze około trzech godzin i może i więcej. Na górę trzeba było iść ukosami i nie cały czas szło

się do góry, czasem było równiej albo nawet zjazd do jakiejś kotliny, potem dalej w górę aż doszliśmy do szczytu. Zmachani i ziajani odpoczywaliśmy i trochę posilaliśmy się, mieliśmy zawsze w kieszeni migdały, czekoladę, rodzyнки i mandarynki. W manierce mieliśmy zawsze jakiś sok, zasypywaliśmy go śniegiem i robił się doskonały napój. Po odpoczynku zaczynał się zjazd który trwał dobrze ponad godzinę. Po przyjeździe do schroniska przyrządziliśmy coś do jedzenia, troszkę odpoczywaliśmy, trochę graliśmy w jakieś gry, szachy, potem szliśmy spać. Na drugi dzień powtarzaliśmy wycieczkę i po powrocie z niej następował powrót do Lwowa wieczornym pociągiem, tak ażeby trochę przespać i na godzinę osmą być w porę w swojej klasie.

Dużym urozmaiceniem dla nas był teatr. We Lwowie był teatr grający codziennie. Był to niedawno wykończony nowy gmach, była to jakby miniatura paryskiej opery. Położenie miał bardzo dobre gdyż zamykał wielką perspektywę wzdłuż Wałów Hetmańskich. Wały Hetmańskie miały swój początek od Placu Mariackiego, gdzie stał pomnik Mickiewicza. Potem był pomnik króla Jana Sobieskiego, później perspektywa była zamknięta gmachem teatru. Repertuar był bardzo urozmaicony, tak ażeby zdobyć publiczność i dać tej publiczności należyte artystyczne wrażenia.

Więc w teatrze było połączone wszystko, był dział dramatyczny, była opera oraz operetka. Teatr dramatyczny dawał najróżniejsze komedie, jak Bałuckiego, Fredry i inne. Oczywiście też wystawiał Dziady, Kordiana, Wesele Wypsiańskiego, jak również dramaty obce jak utwory Szekspira, Ibsena. Było kilku znakomitych aktorów, wymienię tylko trzech - Siemiaszkową, Bogusza i Adwentowicza. Byli i na gościnnych występach aktorzy z Krakowa i Warszawy. Najbardziej interesowały nas chłopców występy operetki. Występy te były na bardzo dobrym poziomie pod względem wokalnym i baletowym. Grano tam Wesołą Wdówkę Lehara, operetki Strauussów i wiele innych. Opera była na trochę gorszym poziomie, nie było tam wielkich głosów lokalnych, ale starano się wystawiać rozmaite opery, włoskich dużo nie było, widziałem kilka razy zarówno Straszny Dwór czy Halkę Moniuszki.

Mieliśmy dostęp do teatru bardzo ułatwiony, redakcja Słowa Polskiego miała w teatrze swoją stałą siedzibę, dwa stałe fotele w trzecim rzędzie, tak że w teatrze można było bywać bez dużych kosztów. Oczywiście z tych foteli korzystali członkowie redakcji, wydawcy, przyjaciele i ich rodziny, a my z Tadzikiem mieliśmy w redakcji swoje chody i dostawaliśmy te wolne bilety dość często. Do teatru, ani do kina, nie można nam było wtedy chodzić z panienkami, takie były wówczas we Lwowie obyczaje, rygory towarzyskie.

My młodzi mieliśmy swoje kółko towarzyskie, spotykaliśmy się, były rozmowy, dyskusje, gry, czasem też i tańce. Tańce nie tyle prywatne, były wówczas zwyczajem że młodzież mogła brać i bywać na publicznych zabawach urządzonych w dużych salach. Tu trzeba nadmienić, że kiedy byłem w klasie szóstej, przeszedłem przez wyszkolenie taneczne. Mianowicie byłem zapisany do szkoły tańca mistrza Hefnera. Był to kurs kilku tygodni, a mistrz Hefner uczył nas nietylko tańce jak walce, polki czy mazury, ale także jak tańczyć tańce figurowe

które były wówczas w modzie, mianowicie kadryle i lansiera. Tańce te wchodziły prawie zawsze w program każdego balu lub wieczorku. Oprócz tego mistrz Hefner dawał nam lekcje etykiety, jak się kłaniać, jak prosić pannę do tańca, jak po skończonym tańcu odprowadzić ją na miejsce pod opiekę jej szapera.

Więc w tym normalnym życiu naszym nie było tylko spraw poważnych, owszem też bawiliśmy się jak przystało na młodzież.

Wakacji letnich nie miałem wiele, tylko przez trzy lata. Jedne wakacje spędziłem w Skole na obozie ćwiczebnym, gimnastycznym. Drugiego lata byłem przez okres dwóch tygodni wraz z ojcem w Kosowie w zakładzie dr. Tarnowskiego. Ten zakład był poważnym i kulturalnym środowiskiem polskim, ma swoją doskonałą historię. Oprócz normalnych kuracjuszy zjeżdżali tam ludzie nie tylko z Galicji, ale także z Królestwa zwłaszcza z Warszawy, ludzie poważni, naukowcy, politycy. Bywał tam Roman Dmowski, Lutosławcy. Można było tam spotkać profesora Grzymałę Siedleckiego, profesora Chrzanowskiego, jednym słowem otrzeć się o prawdziwy kulturalny świat. Po tym pobycie w Kosowie wybrałem się na inną wycieczkę umówiwszy poprzednio z dwoma kolegami, że się spotkamy w Jaremczu na zwiedzenie doliny Czeremoszu i wodospadów. Zwiedziliśmy Jaremczę, Worochę, chodziliśmy po górach a punktem końcowym była trzy dniowa wyprawa w Czarnohorę.

Ostatnie wakacje moich młodzieńczych lat były w roku 1913-ym. Ułożyliśmy się z dwoma kolegami ze szkoły i harcerstwa, wybraliśmy się na zwiedzenie zachodnich Karpat, Beskidów zachodnich i Tatr. Koleję przyjechaliśmy do Zakopanego. Nocowaliśmy u górali, którzy mieli dobre przygotowane pomieszczenia dla przyjmowania letników. Nie zawsze jednak nocowaliśmy pod dachem, wiele nocy spędziliśmy buszując po Tatrach, w schroniskach Tatrzańskiego Towarzystwa. Schroniska te przeważnie dosyć prymitywne, na kiepskim poziomie. Jedyne porządne schronisko, właściwie był to hotel, w Morskim Oku. Z Morskiego Oka wychodziliśmy na Gierlach, na Swinię i.t.d. Wreszcie postanowiliśmy, co było zresztą uplanowane, wybrać się na Rysy, najwyższy szczyt tatrzański.

Na Rysy wybraliśmy się po spędzeniu nocy w schronisku tatrzańskim przy Pięciu Stawach. Nie było to zwyczajną przechadzką, wejście na Rysy to wyprawa z trudnościami, duże przedsięwzięcie sportowe. Nie wymagało techniki czy sprzętu wysoko alpejskiej - chociaż można na Rysy też chodzić karkołomnymi ścianami - myśmy szli drogą przystępną dla takich jak my poważnych taterników. Myśmy planowali że w ciągu siedmiu, ośmiu godzin od Pięciu Staw dotremy na Rysy. Wspinaliśmy się pod górę, przejścia niektóre były trudne z klamrami, ale było to dla nas wielkie urozmaicenie i wielka rozkosz, poza widokami wielki wyczyn sportowy. Kiedy dochodziliśmy prawie do szczytu raptem zerwała się burza.

Był to początek sierpnia, burza była gwałtowna z śnieżycą. Przedstawiało to pewne ryzyko, idąc blisko lodowca, raptem zostaliśmy ogarnięci zawieją śnieżną. Na szczęście nasze, burza była tylko przelotna, trwało nie wiele więcej

jak pół godziny, po czym przeszło i wyjaśniało się zupełnie. Ruszyliśmy dalej, gdyśmy znaleźli się na szczycie była piękna słoneczna pogoda i wspaniała tatrzańska panorama otwarła się przed nami. Po wypoczynku na szczycie, po zjedzeniu czegoś, o godzinie drugiej popołudniu zaczęliśmy schodzić w dół na stronę węgierską. Zejście było łatwiejsze, nie tylko dlatego że w dół, także mniej było trudnych przejść niż od strony polskiej.. Gdy zeszliśmy już dość znacznie w dół stanęliśmy nad jeziorem, przy którym zobaczyliśmy kilka zupełnie ładnych budynków i porządny hotel. Nie bardzo mieliśmy na to pieniędzy aby wejść do tego hotelu, ale wstąpiliśmy tam żeby oglądnąć jak to wygląda i wypić herbaty. Dalej jak szliśmy w dół tych na kulturalnym poziomie budynków i pomieszczeń było coraz więcej. U podnóża Tatrów ze strony węgierskiej (teraz słowackiej) było miejscowości cały szereg złączonych z sobą elektryczną kolejką.

W roku 1911 przyjechał do Lwowa mój brat Staszek. On pozostał w Sanoku jeszcze jeden rok ponieważ miał tylko rok do ukończenia gimnazjum. Teraz znalazł się, jak ja półtora roku temu, w zupełnie nowym dla siebie środowiska. Ja oczywiście będąc zakotwiczony we Lwowie, znalazwszy swoje miejsce tam mogłem i chciałem memu bratu ułatwić jego pierwsze kroki. Nie mogłem tego zrobić jednakowoż bardzo skutecznie, dlatego że była między nami zasadnicza różnica. Jakkolwiek różnica wieku, trzylata, jest stosunkowo mała, jednakowoż w danym wypadku stanowiła ona otchłań, że obracaliśmy się w kołach różnych, które ze sobą bardzo rzadko się stykały.

Ja wszedłem do gimnazjum do swojej klasy i po krótkim czasie znalazłem tam swoje miejsce. On jednakowoż chciał wejść w życie szersze, w życie akademickie. Słuchacze wyższych szkół, zwani wówczas akademikami, stanowili odrębny świat, mieli w szkole swoje stowarzyszenia, swoje własne zainteresowania i te nie stykały się, albo bardzo mało, z tymi dla uczniów szkół średnich. Dlatego jego sytuacja była nieco trudniejsza od mojej jak na początek. Także nasze osobiste zainteresowania nieco się różniły. Mój brat nie wszedł w orbitę życia sokolego, a pozatym się obracał w swoich kołach akademickich i swoje miejsce wśród nich odnajdywał. Wstąpił on na Politechnikę Lwowską gdzie ukończył pięć semestrów zanim działania pierwszej wojny światowej przerwały jego naukę.

Zmiany więc w moim życiu zaszły duże. Poza życiem szkolnym i zainteresowaniami z tym związanymi, były trzy środowiska które położyły piętno na formowaniu mego światopoglądu, charakteru osobistego. Jedno to środowisko Sokola, z którym ojciec był tak ściśle związany. Drugie to było harcerstwo które właśnie zaczęło się rozwijać we Lwowie przy Sokole. Trzecie środowisko w zainteresowaniach politycznych i które skupiało się w dużej mierze około redakcji Słowa Polskiego, której członkiem też wówczas był mój ojciec.

III - O SOKOLSTWIE i HARCERSTWIE

Całe życie mojego ojca jest związane z historią Sokolstwa polskiego. Bez poruszania tej sprawy sylwetka jego nie będzie pełna i wyraźna. Mój ojciec całe swoje życie pracował dla tej organizacji, służył jej i starał się rozumnie ją kierować. Moja historia też jest związana dość ściśle z Sokołem przez co najmniej dwadzieścia kilka pierwszych lat mojego życia. Gdziekolwiek się poruszam zawsze się spotykam z Sokołem, tak lub inaczej. To wywarło na mnie wpływ bardzo wielki. Nie mam zamiaru pisać historii Sokolstwa polskiego, ponieważ z jednej strony są to rzeczy znane, z drugiej zaś strony są materiały pisane, sprawozdania drukowane, można znaleźć wiadomości szczegółowe jeśli ktoś ciekaw jest szczegółów. Ograniczę się do pewnych obserwacji osobistych.

Sokół był towarzystwem gimnastycznym. Sokół to nazwa oficjalna. Był on podobnym w typie jak w innych krajach słowiańskich, zwłaszcza na terenie byłej monarchii austriackiej - w Czechach, Polsce i w krajach wchodzących później w skład Jugosławii. Organizacja powstała w połowie XIX-go wieku³. Towarzystwo to szybko zaczęło się rozwijać zarówno u nas jak w tamtych krajach. Jakie były powody tego szybkiego rozwoju? Jednym z podstawowych elementów był rodzący się, a raczej silniej manifestujący się ruch ogólnego unarodowienia się i prądów w dążeniu do odzyskania niepodległości. Sokół był organizacją apolityczną ale o typie wybitnie organizacji społecznej o bardzo silnym podłożu patriotycznym.

Drugim elementem był budzący się prąd zmiennych poglądów pod wpływem rozwoju medycyny, na ogół na kulturę fizyczną, mianowicie na higienę - zaczęto otwierać okna, zarzucać spanie w łóżkach otoczonych kotarami i w szlachmycach. Prąd unarodowienia tak powszechny wówczas w tych krajach jak i nowy prąd tej kultury fizycznej Sokół podjął od razu i przyswoił sobie i to stworzyło postawy szybkiego jego rozwoju. Innym ważnym elementem szybkiego rozwoju na terytorium Galicji była zupełna swoboda stowarzyszeń. Władze nie krępowały rozwoju stowarzyszeń. Inaczej było w byłym zaborze pruskim, gdzie także sokół powoli się przyjmował, rozwijał ale wolno i w byłym zaborze rosyjskim, gdzie ruch ten napotykał na wielki opór ze strony władz administracyjnych utrudniających rozwój stowarzyszeń jak i tendencje do rasyfikacji, która oczywiście przeciwstawiała się ideałom które podejmowała ta organizacja. U podstawy programów społecznych były prądy ideologiczne. Jednym z tych ideologicznych prądów był ogólny prąd unarodowienia. Prąd ten narodowy położył duże piętno na organizacji Sokoła.

³ w Polsce w roku 1867.

Ten szybki rozwój był tak znamieny, że przed upływem niewielu lat siecią swoją Sokół pokrył całe terytorium, tak że nie było miasta lub miasteczka w Galicji w którym nie było Sokoła. Na przełomie wieku XIX-go i XX-go Sokół był u szczytu sojego rozwoju. Centralę swoją miał we Lwowie. Szybko rozwijający się Sokół równocześnie miał możliwość także i zagospodarowania się, był to bowiem okres pokoju w Europie, a więc stabilizacji ekonomicznej, rozwoju ekonomicznego. Tak że prawie w każdej miejscowości, gdzie by Sokół, miał swoją własną siedzibę, swoją własną nieruchomość. Można było dojść do tego przy pomocy składek członkowskich i takich większych i mniejszych tu i ówdzie darowizn. Tak więc Sokół, nie tylko krzewił ideologię narodową, ale z drugiej strony służył rozwojowi kultury fizycznej i higieny, aż wreszcie odegrał, zwłaszcza w mniejszych miejscowościach, dużą rolę w życiu towarzyskim.

Podobną rolę jak Sokół w Polsce, spełniała pokrewna organizacja o tej samej nazwie Sokół w innych krajach, każdy też na swoją potrzebę narodową czy społeczną się nastawił. Organizacje były zaprzyjaźnione, współdziałały, ale nie były powiązane organizacyjnie. Nie było wogóle międzynarodowej organizacji Sokoła.

Sokół, mając swoje siedziby, a w nich swoje sale gimnastyczne, spełniał pewną rolę wychowawczą nie tylko dla swoich członków, ale będąc jedyną technicznie wyposażoną organizacją, dla uprawiania gimnastyki, z organizacji Sokoła korzystały szkoły państwowe i prywatne, a naczelnictwo Sokoła to przeważnie nauczyciele gimnastyki w tychże szkołach. Tak też było w Sanoku. Sokół tam miał bardzo ładną salę w piętrowym budynku. Miał budynek też wiele innych sal, które służyły za szatnia i inne. Budynek Sokoła miał bardzo ładne położenie ponieważ sąsiedował bezpośrednio z miejskim parkiem publicznym, także położenie było świetne. Przy Sokole była kręgielnia, która była bardzo lubianym obiektem urozmaicenia sobie życia. W kręgielni gromadziło się i skupiało życie towarzyskie. Sokół miał poza tym na Sanie swoją przystań powyżej wielkiego mostu prowadzącego do Olchowiec. Był tam sprzęt wioślarski i też urządzenia do kąpieli w rzece.

Ważną cechą charakterystyczną Sokoła była kwestia członkowstwa. Członkowie Sokołstwa reprezentowali szeroki wachlarz społeczny. Rekrutowali się z inteligencji miejscowej, z urzędników państwowych, prywatnych przedsiębiorstw, nauczycielstwa, wolnych zawodoów - adwokatów, lekarzy - rzemieślników i pracowników rzemiosła i też i duchowieństwa. Tak więc widzimy że w Sanoku skupiały się przedstawiciele wszystkich warstw społecznych. Był więc Sokół organizacją miejską. Na wieś przenikał powoli głównie dzięki swojemu charakterowi organizacji społecznych i narowowych zainteresowań. Towarzystwa gimnastycznego wieś nie potrzebowała.

We Lwowie Sokół miał wiele gniazd, wiele gmachów. Główny gmach to był Sokół Macierz. Jak sama nazwa wskazuje to była pierwotna organizacja Sokoła właśnie we Lwowie.

Przy Sokole Macierzy były władze centralne Związka Sokolego, które się nazywały Przewodnictwem Sokolim. Lokal był w nowym budynku przybudówce

do Sokoła Macierzy z wejściem od ulicy Sokolej, bo tak się ta ulica nazywała, krótka przecznica między ulicą Zimorowicza a Wołoszczyzną. Na trzecim piętrze był dość obszerny lokal, była sala prezydialna w której się odbywały się regularnie posiedzenia przewodnictwa. Była duża sala robocza, w której znajdowały się urządzenia, środek czynności związanej z kierownictwem tą.

Jak wspomniałem cała praca organizacyjna, kierownicza tego bardzo dużego stowarzyszenia była dokonywana przez ludzi dobrej woli, urzędników płatnych tam nie było, z wyjątkiem buchaltera. Jak to widzę teraz, jego praca była bardzo duża żeby prowadzić dokładnie rachunkowość tego wielkiego stowarzyszenia. Zbierali się tam ci panowie na posiedzeniach od czasu do czasu. Kilku przyjaciół mego ojca razem z nim, który był sekretarzem generalnym przewodnictwa, bywali regularnie, prawie codziennie, w godzinach wczesnych wieczorowych od 5-tej lub 6-tej do godziny 8-mej.

Po skończonych wieczorowych zajęciach ci panowie często razem wychodzili na kolację, przy rozmowach tam troszkę odpoczywali, także dyskutowali swoje plany i zamiary. Chodzili do starej znanej restauracji położonej za rynkiem Łukowskim, mieli tam swój stały stolik i byli tam stałymi klientami. Prowadzono tam rozmowy na najróżniejsze tematy związane z organizacją. Ojciec od czasu do czasu zabierał mnie tam. Miałem więc możliwość przysłuchiwania się tym rozmowom, a miałem wówczas lat sześćnaście - siedmnaście. W każdym razie wiele na tym zyskałem, przebywając w tym dobrze zgranym środowisku od czasu do czasu.

Tam na terenie centrali sokolwej poznałem kapitana w stanie spoczynku. Był on kapitanem artylerii austriackiej Józef Haller. Był to człowiek młody, energiczny. Dlaczego on wyszedł ze służby austriackiej do życia cywilnego ja nie wiem. Będąc obecnie cywilem współpracował z przewodnictwem Sokoła i mając wojskowe fachowe przygotowania kierował wyszkoleniem instruktorów, dużo pracował w organizacji paramilitarnej. Był on w każdym razie doradcą fachowym. Też go widywałem kilka razy u nas w domu gdzie przychodził na rozmaite rozmowy i narady z moim ojcem.

Tak więc miałem możliwość poznania i zbliżenia się z przyszłym dowódcą Błękitnej Brygady Hallerczyków, tak zwanych od koloru mundurów, ale też przyszłym dowódcą armii ochotniczej w walkach 1920r. Ta znajomość była dla mnie bardzo ważna, jak się potem przekonałem i pewien kapitał znajomości osobistej, pewnego zaufania zdobyty tam miał mi kiedyś w życiu oddać pewne usługi. Dlatego że znając dobrze i będąc znany przez Józefa Hallera później na terenie po drugiej wojnie światowej miałem możliwość oddać pewne usługi dla ogólnej sprawy w tym środowisku emigracyjnym. Były jak wiadomo różne różnice i tarcia i tak się zdarzyło że właśnie miałem możliwość raz czy dwa razy odegrać pewną rolę w uzgadnianiu poglądów.

Po przełomie XX-go wieku nowy element wszedł który przyciągnął więcej młodzieży do Sokoła. Tym elementem był Skauting, który, jak wiadomo, pochodzi z Anglii. Przybył do Polski właśnie przez Sokół. Przywiózł właśnie grupa Sokolów ze Lwowa - Andrzej Małkowski, Ignacy Kozielski i Grudziński

- którzy dali temu ruchowi początek. Sokół służył wielką pomocą, dał warunki na rozpoczęcie pracy, dał skautingowi pierwszych instruktorów, sprowadził z Anglii mundury. Mówię o Skautingu, bo tak nazywało się na początku późniejsze harcerstwo. Otóż w jesieni 1910r. rozpoczął się ruch skautowy w Polsce. Ruch który przybrał formy bardzo szybkiego rozwoju i rozmachu tak jak było w początkach organizacji Sokola.

Pierwsze szeregi skautowe w Polsce powstały przy Sokole Macierzy we Lwowie. Jednym z zastępowych tych pierwszych zastępów właśnie byłem ja. Tak więc w moje życie wchodzi nowy element, element odpowiedzialności, zaczynam brać udział w życiu organizacyjnym i na początek dostaję funkcję odpowiedzialną. Jestem kierownikiem pierwszego zastępu.

Zacząło się od takich zabawek, od gry Kim'a, jednak rozwój był bardzo szybki. Mie minęło wiele miesięcy a z tych pierwszych trzech zastępów przy Sokole Macierzy we Lwowie już były trzy pełne drużyny harcerskie. Ten nowy ruch objął przedewszystkiem młodzież szkolną i te pierwsze zastępy składały się z uczni mego gimnazjum, Gimnazjum Trzeci we Lwowie, z mojej klasy i klas niższych. Klasy wyższe jakoś nie przystąpiły do tego, byli już starsi i mieli inne zainteresowania. My, w miarę jak się stawaliśmy już młodymi ludźmi zaczęliśmy interesować się naszym życiem trochę inaczej. Zaczęły się odbywać zbiórki harcerskie, wycieczki, ćwiczenia harcerskie, ale coraz bardziej wchodziliśmy w tryb innego zainteresowania. Przybierało to coraz więcej formę organizacji parlamentanej. Drużynowym naszej drużyny był inspektor, czyli instruktor Sokola, nauczyciel gimnastyki Franciszek Kapalka, który będąc dobrym pedagogiem rozumiał tę zmianę psychiczną wśród swoich wychowanków i prowadził nas właśnie w tym kierunku.

W tym czasie, w roku 1912, w życiu kultury fizycznej następuje pewien ważny zwrot, mianowicie zaczyna wchodzić w życie system gimnastyczny Ling'a, który pochodzi ze Szwecji. Jest to system naukowy bardzo gruntownie opracowany. Sokół wysłał do Szwecji na przeszkolenie dwóch czy trzech instruktorów na cały rok. Po powrocie Sokół zorganizował cztero-tygodniowe letnie kursy nowego systemu w obozie. Obóz ten ćwiczebny był założony w Skole. Skole to małe miasteczko ale miało też oczywiście swoją siedzibę Sokola. Była ona położone w górach, więc w pewnej odległości od środowiska miejskiego. Znalaziono odpowiednie miejsce na leśnej dużej polanie, która miała tą zaletę że była dość równa. Nadawało się to więc doskonale do tego celu. Kursiści spali i mieszkali w namiotach. Namioty były wynajęte od wojska austriackiego. Były to prawdziwe duże namioty z drewnianymi podłogami, z żelaznymi łózkami. Kusiści nie brali udziału w gospodarce, kuchnia została oddana fachowym kucharzom. Na kurs składały się rozmaite ćwiczenia wolne i na przyrządach, a oprócz tego cały szereg wykładów teoretycznych z anatomii. Oprócz tego, w wolnym czasie były przygotowania wojskowe, wykłady teoretyczne z zakresu przygotowania wojskowego. Przygotowania paramilitarne w Galicji odbyły się już od dłuższego czasu na dużą skalę.

Była tam także zrobiona strzelnica, tak że można było przeprowadzić ćwiczenia z karabinami. Na kurs ten, pierwszy bodaj, dostałem się i ja, było to w roku 1912 lub 1913, dokładnie nie pamiętam. Dostałem się tam oczywiście przez protekcję, byłem bowiem za młody na to aby brać poważny udział w całym kursie, która wymagała dużego wysiłku fizycznego na który mnie nie było stać. Wszedłem w ten tryb życia obozowego, który bardzo lubiałem i który wiele dobra w rozwoju moim fizycznym dla mnie zrobił. Uczestnicy tego kursu byli naczelnikami swoich gniazd sokolich, nauczycielami gimnastyki. Kurs był prowadzony bardzo rygorystycznie. Na końcu dostali dyplomy kwalifikujące ich do zawodu instruktorów lub nauczycieli gimnastyki. Ja oczywiście takiego dyplomu nie dostałem, nie mogłem dostać, choć kurs ten przeszedłem w całości, ale byłem zwalniany szczególnie z wykładów teoretycznych i tych zadań na które siły poprostu nie miałem.

Przy tej okazji wspomnę o pierwszym zetknięciu naszej rodziny ze Stanami Zjednoczonymi, oczywiście przez Sokół. Ojciec został wydelegowany do wizyty w Stanach Zjednoczonych Ameryki, zdaje mi się że to było w roku 1912-ym. Musiała to być jakaś specjalna okazja jakiejś rocznicy. Ojciec wyjechał na zwiedzenie organizacji Sokolej na tym terenie. Sokół w Ameryce odegrał dużą rolę w tym okresie. Właśnie pod koniec XIX-go wieku zaczęła się masowa emigracja zarobkowa do Stanów Zjednoczonych. Ci emigranci byli przeważnie robotnicy rolni, także było trochę inteligencji. Przywieźli z Galicji ideję Sokola. Została założona organizacja której centrala była, i jest w dalszym ciągu w Pittsburgu. W tym czasie prezesem i główną osobą w tej organizacji był dr. Staziński, który także później reprezentował emigrację polską w Ameryce w polskim Komitecie w Paryżu w czasie konferencji pokojowej. Organizacja ta odegrała ważną rolę w sformuowaniu polityki amerykańskiej w stosunku do sprawy odzyskania niepodległości Polski, również w sformułowaniu ochotniczej Armii Błękitnej którą dowodził generał Józef Haller. Weterani pierwszej wojny światowej w Ameryce do dzisiaj zachowując tradycję i nazywają się Stowarzyszeniem Hallerczyków.



Stanisław Biega i Filibert Czajkowski
polscy delegaci do zebrania
Sokola w Pittsburgu - 1912

IV - SŁOWO POLSKIE

Przechodzę teraz do środowiska Słowa Polskiego. Ważne dla mnie tutaj jest, ludzi jakich tam poznałem. Poznałem prawie wszystkich czołowych działaczy obozu wszechpolskiego ludowego. Wymienię tutaj dwóch profesorów - prof. Stanisława Głębińskiego i prof. Stanisława Grabskiego. Prof. Głębiński był na uniwersytecie Jana Kazimierza i miał tam katedrę skarbowości, ale który pozatym był posłem zarówno do sejmu krajowego we Lwowie jak i do parlamentu w Wiedniu. W Wiedniu posłowie z Polski byli ze sobą zgromadzeni razem w środowisku które nazywało się Polskim Kołem. Głębiński był przez pewien czas prezesem Koła Polskiego, z tej racji nawet był w jednym z gabinetów, miał tekę kolejnictwa, też był członkiem sądu. Drugim profesorem był prof. Stanisław Grabski, który miał katedrę ekonomii na Uniwersytecie. Był to bardzo żywy, o bardzo szerokich horyzontach człowiek. Był on jednym z głównych kierowników wówczas życia politycznego tego obozu na terenie Lwowa. Mandatu poselskiego nie piastował dlatego że pochodził z Królestwa i będąc we Lwowie zachował obywatelstwo rosyjskie. Nie mając obywatelstwa austriackiego nie mógł być kandydatem na stanowisko poselskie.. Z profesorem Grabskim, który przebywał na terenie redakcji i tam go spotykałem, ale również w życiu prywatnym gdzie zbliżyłem się do niego, także z jego rodziną, co później miało swoje bardzo dodatne skutki.

Na terenie redakcji poznałem szereg ludzi, jednych bliżej, drugich mniej blisko. Spotykałem nietylko ludzi z terenu Małopolski, Galicji, ale w czasie ich wizyt w redakcji ludzi z Królestwa Polskiego, z Warszawy. Tam spotkałem po raz pierwszy w życiu Romana Dmowskiego. Tam poznałem głównego publicystę Gazety Warszawskiej Józefa Chłasko. Na terenie redakcji poznałem także dwóch braci Wierzyńskich, starszy Hieronim młody człowiek z redakcji Słowa Polskiego i młodszy brat znany poeta Kazimierz Wierzyński. Zaprzyjaźniłem się wówczas z Hieronim Wierzyńskim. Obdarzył mnie przyjaźnią która trwała bardzo długo. Wierzyński był później w Warszawie wybitnym dziennikarzem, wybitnym sprawozdawcą naszego pisma, Wieczoru Warszawskiego, odegrał bardzo ważną, bardzo pożyteczną rolę, był bowiem wice-prezesem naszego pisma a w życiu dziennikarskim był wice-prezesem Związku Dziennikarzy.

Jeśli mówię o ludziach których poznałem to chcę mówić tylko o ludziach wybitnych. Tam też poznałem Jana Kasprowicza i jego dwie córki, starszą Jankę i młodszą, moją równieśniczką, Hankę. My młodzi mieliśmy też swoje kółko towarzyskie, w tym kółku znajdowały się obie Kasprowiczówny. Tutaj nadmienię że w Hance trochę się podkochiwałem. Jan Kasprowicz, którego kilka razy widziałem przy stole, był bardzo żywy, dużo mówił różne anegdotki, często używał języka rubaśnego co było pewną atrakcją. Tam też poznałem malarza Jarockiego, malarza i słynnego karykaturzystę Kornela Makuszyńskiego, młodego Gubrynowicza. Też poznałem wybitnego ruskiego adwokata dr. Władysława

Michejdę, członka znanej śląskiej rodziny Michejdów. Też poznałem wiceprezydenta Lwowa, adwokata Nardostaja, którego starszy syn Roman był moim kolegą w trzecim gimnazjum.

Mówiąc o tym środowisku i jego wpływie na mnie i na formowanie mego światopoglądu, mam na myśli że człowiek inaczej reaguje na pewne fakty i zjawiska w życiu politycznym, jeżeli aktorzy w danych okolicznościach i wypadkach są osobiście znani, a inaczej jak się o tych faktach dowiaduje z lektury czy gazety. Otóż miałem zbliżenia osobiste i niewątpliwie wielki wpływ one miały na mnie, przysłuchiwanie się i przyglądanie się życiu w sposób praktyczny a nie tylko teoretyczny.

Tak praktycznie łączyłem się z życiem w pracy redakcyjnej, bo redakcja była tylko jedno piętro niżej. Lubiano mnie tam i miałem możliwość porozmawiać i przysłuchać się rozmowom. Tak się dowiedziałem o praktycznych zajęciach życia redakcyjnego, dowiedziałem się co jest "deadline", kto robił korekty, jak wszystkie czynności w reakcji się wykonuje. Te praktyczne wiadomości tam zdobyte z obserwacji przez trzy lata bardzo były przydatne gdy dwadzieście-pięć lat później objąłem dyрекcję Wieczoru Warszawskiego. Znalazłem się wtedy na terenie nie zupełnie mi obcym, lecz z znajomością praktyczną tego życia. Odegrało to bardzo poważną rolę w prowadzeniu przez mnie wydawnictwa w charakterze dyrektora.

V -WOJNA!

Wybuch pierwszej wojny światowej w 1914 roku był wielkim wstrząsem dla całego społeczeństwa. Nie zastał tego społeczeństwa nie przygotowanego na wypadki i na rolę jaką wypadnie mu w najbliższym czasie odegrać. Były przecież przede wszystkim stronnictwa polityczne, oparte o programy ideologiczne i polityczne, które działały i szerzyły swoje idee i ideały i świadomość narodową w społeczeństwie. Były przedstawicielstwa parlamentarne, byli z powszechnych wyborów posłowie do sejmu krajowego we Lwowie, byli z powszechnego wyborów posłowie do parlamentu w Wiedniu, którzy byli zgrupowani w Kole Polskim, które starało się koordynować prace i wysiłki. Mówię tutaj o Galicji gdzie życie było bujne i mniej więcej swobodnie się rozwijające. Niemniej podobna praca polityczno wychowawcza miała miejsce na terenie innych zaborów i tam też były powiązania parlamentarne; zarówno Wielkopolska miała posłów w sejmie pruski w Berlinie, jak i Królestwo miało przedstawicieli w Petersburgu. Te organizacje rozwijały swoją działalność na terenach tych trzech zaborów, jednakowoż były ze sobą w stałym kontakcie, tak że można mówić o przygotowaniu politycznym, o świadomości narodowej społeczeństwa na całym terenie Polski.

Oprócz tego tła politycznego to przygotowanie społeczeństwa rozwijało się też w innej płaszczyźnie. Mam na myśli przygotowania paramilitarne. Byłoby zbyt wielkim uproszczeniem powiedzieć że wybuchła wojna, powstały Legiony, Marszałek Piłsudski, walka o niepodległość, zdobycie niepodległości. Jednakowoż, jakakolwiek zasługa Piłsudskiego, trzeba pamiętać że były inne organizacje o równej zasłudze. Strzelec był organizacją Piłsudskiego, był zbrojnym ramieniem Polskiej Partii Socjalistycznej, P.P.S. Opierał swoje członkostwo w przeważnej mierze, na młodzieży akademickiej, na intelektualistach. Sięga wstecz jeszcze do 1905 roku, do pierwszych ruchów rewolucyjnych które powstały po klęsce rosyjskiej w wojnie rosyjsko-japońskiej.

Drugą organizacją bardzo podobną w charakterze, w programie swoim, była Drużyny Strzeleckie. Jedną zasadniczą różnicą było to że Drużyny Strzeleckie nie podlegały P.P.S., jakkolwiek ulegały wpływom organizacji politycznych lewicowych, ale nie tylko lewicowych. Jednym słowem, pod względem orientacji politycznej, programu politycznego, Drużyny Strzeleckie były orientujące się w ogólnej narodowej sytuacji. Nie miały tego charakteru jak Strzelec który się przygotował zgodnie z swoimi tradycjami do walki przede wszystkim z Rosją.

Trzecią organizacją, która tę rolę spełniała, były Drużyny Sokole. Organizacja Sokoła była oparta w swoim członkostwie ma przekrój społeczny szerszy, bo oprócz młodzieży akademickiej, młodzieży starszych klas gimnazjalnych i inteligencji w dużej mierze opierała się na mieszczaństwie. W

ostatnich latach przed wybuchem wojny, charakter szkoleniowy Sokoła ulegał zmianom z systemu czysto gimnastycznego wychowania coraz więcej było elementu szkoleniowego przygotowania wojskowego.

Na terenie specjalnie Małopolski Wschodniej miała jeszcze jedna organizacja o mniejszym zasięgu, która jednak weszła później do szeregów Legionu Wschodniego, była to organizacja pod nazwą Drużyny Bartoszwowe.

Muszę nadmienić że w tej pracy politycznej, w rozmaitych pertrakcjach jakie się odbywały, ja osobiście żadnego udziału nie miałem. Natomiast w organizacji paramilitarnej mam swój osobisty udział i wkład. Jak jeszcze jest spokój w Europie, warunki normalne, to jest w pierwszej połowie 1914r. mam maturę na karku, najwięcej czasu poświęcam nauce, a poza tym inne zainteresowania, ćwiczenia na boisku czy wycieczki w okolice. Wreszcie zdałem maturę i teraz następuje chwila bardzo ważna, przełomowa, bo zdejmuję mundurek szkolny, wkładam cywilne ubranie i staję na progu życia młodzieży akademickiej. Wypadki jednakowoż nie pozwoliły mi daleko poza ten próg wyjść, w życiu codziennym po zdaniu matury to była wielka okazja do cieszenia się z tego, były zabawy, rozmowy, zebrania.

Pierwszego sierpnia wojna wybuchła. Naturalnie wielkie zamieszanie, przygotowania w naszych ćwiczeniach, które przybrały zupełnie normalny przebieg podstawowego szkolenia wojskowego. Grupa nasza, która z dawnych karcerzy się składała, wzrosła. Do niej dołączyły się grupki innych drużyn z innych szkół. Z tymi nowymi kolegami przybili ich instruktorzy, grono się powiększyło i wzrosło do poziomu jednej kompanii, prawie sto osób. Przebieg wojny jest znany, Była wielk klęska rosyjska nad jeziorami mazurskimi. Armia rosyjska zaczęła się wycofywać z terenu Królestwa Polskiego. Na froncie południowym sytuacja była odmienna, tam Rosjanie rozwinęli akcję ofensywną z powodzeniem takim, że armia austriacka na tym froncie była właściwie pobita i zdemoralizowana, poczęła się cofać i już było do przewidzenia zajęcie Lwowa. Wojna, jak wyrosli w niej politycy twierdzili, miała potrwać parę miesięcy i przed Bożem Narodzeniem się skończyć! Trwała jednakowoż ponad cztery lata.

Sytuacja jest naprężona. Front wojenny się zbliża do Lwowa. Następują pertraktacje, porozumienia polityczne z władzami austriackimi. Organizacja polityczna, która zajmuje się grupą organizacji paramilitarnych, zdecydowała na włączenie ich do ugrupowania zwanym Legionem Wschodnim i powierzyła dowództwo Józefowi Hallerowi. W skład podstawowy tego Legionu wchodzi Drużyny Sokole i Drużyny Strzeleckie. Pertraktacje jednak trwają nadal, nie wszystko jest zapięte na ostatnie guziki i sytuacja jeszcze nie jest wyjaśniona wobec różnicy panującej między społeczeństwem i ustosunkowaniem się do ogólnej sytuacji wojennej między wojującymi stronami.

Do kontaktu z komendą Legionu kierownictwo organizacji politycznych wznaczyło hrabiego Aleksandra Skarbka i mojego ojca. Pod presją na froncie wojennym grozącą lada dzień zajęciem Lwowa, zapadła decyzja że ta organizacja, jaka ona jest, musi być z Lwowa wyprowadzona. Pod koniec sierpnia Legion Wschodni ruszył na zachód w składzie ludzkim około 1000 ludzi. Może teraz się

wydziać - co to było tysiąc ludzi. Jednak trzeba pamiętać że to jest początek wojny, że pierwsza Kadrowa Piłsudskiego nie wyruszyła z Krakowa w liczniejszym składzie, ale oni w Krakowie mają czas i napewno szkołę dalsze oddziały, tutaj jednak na szkolenie czasu już nie było, Legion musiał wymaszerować.

Dla orientacji zaznaczę linię wymarszu po której Legion szedł - Sambor, Chyrów, Sanok, Krosno, Jasło. Kolumna ta wyruszyła z ekwipunkiem bardzo nie zadawalniającym. Ruszyła piechotą z małym taborem, kuchniami polowymi i to było wszystko. Idziemy na zachód. W kolumnie tej znalazł się naturalnie i mój brat, Staszek, w szeregach Drużyn Strzeleckich. Jak już wspominałem, nasze stosunki braterskie były bardzo normalne, żyliśmy pod jednym dachem, ale jednak koła w których obracaliśmy się były różne, co prawda ja poznałem trochę jego nowych kolegów i przyjaciół we Lwowie, on poznał się trochę z moimi kolegami, zainteresowania jednak były różne, wspólnie najwięcej mieliśmy zainteresowań na terenie sportowym. Marsz szedł wolno, ludzie nie bardzo byli wytrenowani, a także może nie zupełnie odpowiednio do tego marszu ubrani, zwłaszcza jeżeli chodzi o obuwie.. Pamiętam że największe trudności to były z nogami. Ludzie wyszli w swoim cywilnym obuwiu, które jednak było mało dostosowane do potrzeb takiego marszu.

Ponieważ droga prowadziła przez Sanok, miałem okazję zwolnić się i odwiedzić dziadka Bauman, który wogóle polityką się nie interesował, więc pewnie te wypadki są dla niego nowością. Nie bardzo wszystko wytłumaczone, więc coś z dziadkiem porozmawiałem serdecznie. Dziadek mnie pobłogosławił na drogę, zawsze był bardzo pobożny, był praktykującym katolikiem. Pobłogosławiony, poszedłem dalej.

Były także w czasie postojów dalsze ćwiczenia, dalsze musztrowania, dalsze kształcenia się. Raz, pamiętam, urządzono defiladę przed komendantem naszego Legionu Józefem Hallerem. Posuwając się naprzód, po pewnym czasie, może po okresie dwóch tygodni znaleźliśmy się w Mszanie Dolnej. To jest punkt w którym odbył się wielki kryzys, zdarzenie o wielkim znaczeniu politycznym. Legion Wschodni jak dotąd był nie zaprzysiężony. Odkładano tę uroczystość zaprzysiężenia dlatego że jeszcze nie wszystko nie było politycznie uzgodnione.

W Mszanie Dolnej jednak ta decyzja zapadła. Legion Wschodni odmówił złożenia przysięgi takiej jaką składali oddziały Piłsudskiego, politycznie to kierownictwu Legionu Wschodniego nie odpowiadało. Decyzja zapadła w kołach politycznych i prosto uroczystości składania przysięgi nie było. Wobec tego konsekwencją następną było rozwiązanie Legionu Wschodniego. Legion Wschodni w Mszanie Dolnej przestał istnieć.

Co dalej? Dalej to już zależało od decyzji indywidualnej. Legion został rozwiązany, przestał być formacją wojskową, każdy był wolny do zrobienia co uważa za stosowne. Wyjścia były rozmaite. Naturalnie na początek wojny ludzie fizycznie sprawni do służby wojskowej podlegali rozkazom mobilizacyjnym. Więc dla tych jednym z wyjść jakie pozostało do wyboru było zgłosić się do odpowiednich władz i wypełnić rozkaz mobilizacji. Porozumienie polityczne z

władzami chwilowo zwalniały członków organizacji takich jak nasze od wypełnienia rozkazu mobilizacyjnego. Ludzie wchodzący w szeregi tych polskich organizacji równocześnie wykonywali rozkaz. Innym wyjściem było złożyć przysięgę, bo przecież decyzji nie złożenia przysięgi każdy nie poperał, i pójść do organizacji podlegającej kierownictwu politycznemu w Krakowie, Naczelnemu Komitetowi Obywatelskiemu, który wówczas był utworzony i kierował politycznie na terenie Małopolski Zachodniej. Piłsudski podlegał temu komitetowi, ale według mnie to nie on podlegał temu kierownictwu politycznemu, lecz komitetowi narzucał swoją wolę. Jeżeli chodzi o Legion Wschodni część żołnierzy wybrała drogę pośrednią i stała się załącznikiem Drugiej Brygady Legionowej pod dowództwem Generała Hallera. Decyzja nie złożenia przysięgi Legionu Wschodniego była decyzją polityczną bardzo wielkiej wagi i była konsekwencją zasadniczej linii politycznej wiązania losów Polski w tej wojnie z losem koalicji anti-niemieckiej. Koncepcja ta była przyjęta i popierana przez większość społeczeństwa polskiego pod wszystkimi trzema zaborami. Na terenie tym, gdzie jesteśmy, na południe od Krakowa jednakowoż zawrzało. Było to wypowiedzenie przeciwko koncepcji zwolenników frontu przeciw Rosji a więc po stronie Austrii. Ataki na tę decyzję były zażarte w prasie i na zebraniach politycznych. W pewnym sensie szukano tutaj nie bardzo podejmowanie walki z tą koncepcją koalicyjną, ale rzucenie się przeciwko decyzji organizacji pochodzącej ze Lwowa i obrano sobie za punkt ataku osobom tym którzy wykonali decyzję, to jest przeciwko hrabiemu Aleksandrowi Skarbkowi i memu ojcu.

Sytuacja była ciężka, atmosfera przykra, żandarmeria buszowała. Ojciec, w porozumieniu ze swoimi partyjnimi przyjaciółmi, zdecydował na chwilowe usunięcie się w zacisze. Umieścił się u przyjaciół Sokolich których znał osobiście, na wsi między Bielskiem a Żywcem. Ja osobiście byłem zupełnie wolny, w tym właśnie czasie mój rocznik poborowy jeszcze nie podlegał rozkazowi mobilizacyjnemu, więc ja miałem zupełnie wolną rękę. Zostałem z ojcem. Zamieszkaliśmy u pewnego zamożnego młynarza. Ten młyn nie był we wsi, lecz za wsią, co miało swoją zaletę, bo ludzie obcy we wsi zwracają na siebie uwagę. Znalazwszy chwilowe oparcie, dach nad głową, zakupiliśmy w Bielsku odpowiedni przyodziewek cywilny przystosowany do pory roku, już później jesieni i zbliżającej się zimy.

W międzyczasie ofensywa rosyjska szybko postępuje naprzód. Twierdza Przemyśl została otoczona pierścieniem, nie mieli sprzętu ani ochoty twierdzę zdobywać. Zajęli Tarnów i stąd linia biegnie ku Karpatom koło Nowego Sącza. Moskale nie kwapili się wpakowania się w góry. Więc zostają wolne Nowy Targ, Zakopane. Tam ofensywa została zatrzymana. W tym czasie jakoś działania wojenne osłabły. Przygotowuje się odpoczynek zimowy i uzupełnienie swojego uzbrojenia i wymiany kadr zmęczonych oddziałów, przybywały oddziały świeże.

U młynarza zbyt długo siedzieć nie mogliśmy i nie chcieliśmy. Ojciec miał swoje kontakty i postanowił się przenieść do większego ośrodka. Przez Żywiec wyjechaliśmy do Zakopanego. Zakopane było wówczas przepelnione. Była tam

fala ucze kinierów, którzy opuścili domostwa uciekając przed zbliżającymi się wojskami rosyjskimi. Byli tam niedobitki z Legionu Wschodniego, jednym słowem życie tam wrzało. Normalne kontakty ojciec nawiązał i trzeba było jednak pomyśleć o tym co dalej robić, czas płynął, bezczynność dokuczala.

Pewnego dnia ojciec powiedział: "Wracamy do Lwowa." Ale jak? Którędy? W jaki sposób? Plan został zrobiony, względnie logiczny. Usunęliśmy się z Zakopanego, oczywiście do kogoś znajomego, na wschód od Nowego Targu, nie pamiętam dokładnie gdzie to było. Plan był taki, czekanie takiej chwili w której coś się znowu ruszy na froncie i dajemy się zająć, znajdziemy się wtedy po drugiej stronie frontu i wtedy będziemy próbowali dostać się do Lwowa. Kupiliśmy parę koni i bryczkę i mieliśmy już własny środek lokomocji⁴.

Mieliśmy tutaj łut szczęścia, bardzo nie długo czekaliśmy, zdarzyła się bowiem ta okazja którą wykorzystaliśmy. Jakies kawaleryjskie oddziały rosyjskie przeszły przez tę miejscowość, więc byliśmy po drugiej stronie frontu. Zaprzęgliśmy konie i ruszyliśmy w drogę. Którędy jednak jechać? Droga przez Podkarpacie, przez Sanok, Chyrów, była niebezpieczna, zbyt blisko Przemyśla i frontu, więc większa czujność władz wojskowych, też tam włóczą się rozmaici maruderzy, dezernerzy, opryszki w mundurach i uzbrojeni. Tak więc skierowaliśmy się na północny-wschód i po kilku dniach dotarliśmy się do Rzeszowa. Stamtąd na wschód, omijając Przemyśl, przez Jaworów. Były pewne trudności, ale było jeszcze na początku wojny, jeszcze wszystkiego była obfitość, potrzeba tylko trochę wysiłku i sprytu. Był to koniec listopada, było zimno ale pogodnie, tylko czasami małe deszcze. Więc dosyć nam się w tej drodze powodziło i pamiętam doskonale datę, na Świętego Mikołaja, dnia szóstego grudnia zjechaliśmy do Lwowa.

Nie mogliśmy oczywiście naszą bryczką i parą koni wjechać na ulicę Zimorowicza, wjechaliśmy więc przez posiadłość profesora Stanisława Grabskiego za rogatkami tak zwanymi Stryjskimi, w Wólce na południu Lwowa. Zostaliśmy przyjęci z otwartymi rękami i tam zakończyliśmy naszą wyprawę z Zakopanego do Lwowa. Konie i bryczka zostały na miejscu i stamtąd poszliśmy do swego mieszkania, które zastaliśmy zupełnie w porządku.

Lwów nie był zniszczony, bowiem fala wojenna, która przeszła przez Lwów nie wyrządziła żadnych większych szkód. Wszystko funkcjonowało normalnie, elektrownia, gazownia, wodociągi, komunikacja miejska, wszystko było w ruchu. Nadmienię tutaj że reżym okupacyjny nie był wcale uciążliwy, śladów wojny totalitarnej nie zauważyłem, nie było żadnych rejestracji, czy wydawania nowych dokumentów osobistych, nie było godziny policyjnej, poruszanie się nie było ograniczone. Gdy ktoś chciał gdzieś pojechać, poszedł na dworzec kolejowy i kupił bilet. Każdy miał dach nad głową, w tym mieszkaniu pewne zapasy jedzenia, odzieży. Był to początek wojny więc jeszcze nie było

⁴ Starszy brat Staszek też jechał razem z ojcem i bratem.

żadnych trudności w kupieniu produktów i innych przedmiotów pierwszej potrzeby, jednakowoż nie było pieniędzy.

Jak zwykle w takich okolicznościach, pierwszą ofiarą była pracująca inteligencja. Szkoły nie były urochomione, uniwersytet też nie był czynny, nauczyciele, profesorowie, urzędnicy, nie dostawali pensji, tak że ta część społeczeństwa musiała jakoś dać sobie radę, musiało bardzo wyraźnie ograniczyć swoje wydatki co z konsekwencji wpłynęło na zmniejszenie obrotów drobnego handlu. Była więc wielka potrzeba zorganizowania opieki nad tymi którzy w pierwszej rzędzie potrzebowali jej.

Jednak wróciliśmy do Lwowa zupełnie innego. Przedewszystkiem nie było moich przyjaciół i moich koleków. Wyjechali ze Lwowa, moi najbliżsi przeważnie z Legionem Wschodnim, i żaden z nich nie wrócił. Inni też gdzieś wyjeżdżali, nie było ich we Lwowie. Przez pierwszą parę tygodni wałęsałem się trochę bez celu. Środowiska do których byłem przyzwyczajony, na przykład Sokół, nie funkcjonował. Z nudu zacząłem uczyć się języka rosyjskiego. Musiałem zacząć samego od początku od poznania i nauczania się nowego alfabetu. Przebrnąłem przez pierwsze trudności jakoś i zrobiłem pewne postępy dzięki pomocy jaką otrzymałem od dobrego znajomego, urzędnika, pana Gudwińskiego. On był z zamiłowania lingwistą, teoretycznie i praktycznie pokazywał mi pewne łączności, i też różnice między rosyjskim a językiem polskim.

Ale ludzi żyli, ludzie byli i coś tam w tym życiu społecznym i politycznym coś robiono. Jednak ja jeszcze w tym wszystkim nie miałem żadnego udziału, bo to było większa polityka, chodziło przedewszystkiem o ułożenie stosunków pomiędzy społeczeństwem a władzami okupacyjnymi. Społeczeństwo i politycy zajmowali jakieś pozycje zgodne z tym co zaszło w stanie, odpowiedzieli się wyraźnie na związanie losów Polski z koalicją aliancką. Byliśmy pod okupacją rosyjską, więc nie było tutaj żadnej wątpliwości co do naszego stosunku do Niemiec, więc też do Austrii i Węgier.

Jednakowoż Lwów, który był ważnym ośrodkiem tej pracy polityczno-społecznej, teraz stał na boku, był na marginesie. Życie to polityczne miało swoje odbicie przedewszystkiem na terenie Królestwa Polskiego. Tam sytuacja też była zmieniona ponieważ Warszawa była zajęta przez Niemców. Wielka fala uchodźców z Królestwa wyemigrała chwilowo na tereny rosyjskie, a ta praca polityczna poczęła się koncentrować w Petersburgu, stolicy Rosji. Petersburg teraz przemianowany na Piotrograd. Więc z tamtym środowiskiem były nawiązane kontakty za pośrednictwem władz okupacyjnych miescowych w Galicji. Na czele tych wszystkich poczynań główną osobą w danym momencie był profesor Stanisław Grabski. On to wyjeżdżał do Piotrogradu i tam utrzymywał kontakty ze swoimi przyjaciółmi którzy gromadzili się wokół osoby Romana Dmowskiego.

Było to już po ogłoszeniu odezw do narodu polskiego przez głównego dowodzącego armią rosyjską księcia Michałowicza, zapowiadającą przyznanie autonomii w Królestwie Polskim, Przedmiotem rozmów w Piotrogradzie było więc najprawdopodobniej w dużej mierze problematyka związana z faktycznym

wykonaniem tej zapowiedzi. W Piotrgradzie nawiązano też kontakty przez odpowiednie ambasady z rządami francuskimi i angielskimi..

Ci którzy prowadzili politykę we Lwowie potrzebowali oczywiście kontaktów z krajem, z prowincją. Potrzebowali pewnych wiadomości, chcieli i musieli jakoś informować społeczeństwo, nie było bowiem prazy, nie było poczty. Chodziło także o zorganizowaniu pomocy dla potrzebujących. Wobec tego potrzeba było stworzyć sobie jakieś środki porozumienia. Z wielką radością przyjąłem wiadomość że będę mógł tutaj być pomocnym. Oczywiście chodziło o pełnienie funkcji listonosza czy kuriera, ale nie wyłącznie dlatego. Jednakowoż w kontaktach osobistych, choć byłem młodym, można mi było dużo więcej zakomunikować ustnie niżby można napisać listownie. Wobec tego kilka razy wyjeżdżałem ze Lwowa na prowincję w pełnej zimie. Zaczęło to to w styczniu. Cieszyło mnie to że coś pozytywnego mogę robić, a pozatym dawało mi możliwość znowu kontaktu i poznawania nowych ludzi, co przy moich szczególnych zainteresowaniach i zamiłowaniach do pracy społecznej miało duże znaczenie. Na frontach wojennych był prawie zupełny spokój na okres zimowy, więc życie można było jako tako w przystosowaniu do warunków dość normalnie i spokojnie żyć.

Większe wypadki jednak nie dały zbyt długo na siebie czekać. Przyszła wiosna a z nią dały się zauważyć wzmożone akcje wojskowe. Większe oddziały przechodziły przez Lwów w jedną i w drugą stronę. Tak się złożyło że mogłem być naocznym świadkiem rozpoczynającej się burzy. W połowie kwietnia jeden z moich wyjazdów wypadł do Jasła. Tam byłem świadkiem rozpoczęcia wielkiej ofensywy austriacko-niemieckiej, Nastąpił znany atak pod Gorlicami. Zawrzała walka, atak był bardzo poważnie przygotowany i uderzenie nastąpiło z wielką siłą, napotkało jednak na bardzo stanowczy opór. Walki trwały ze zmiennym tam rezultatem przez jakiś czas, ale wreszcie front rosyjski został przełamany. Rozpoczęła się ofensywa i marsz armii austriackiej wraz z niemiecką z powrotem na wscód..

Ta nowa okoliczność wpłynęła na postawę zarówno kierownictwa politycznego i samego społeczeństwa. Nastąpiło duże zaniepokojenie co i jak się ta ofensywa skończy, jakie mogą być tego wszystkiego konsekwencje. Profesor Grabski wyjechał na jakiś czas do grodu i kiedy wrócił przywiózł ze sobą decyzję. Mianowicie zaczęto przygotowywać poważnie ewakuację tych którzy nie chcieli być z powrotem zajęci przez wojska austriacko-niemieckie, albo poprostu nie mogli. Tak więc mój ojciec, mój brat i ja zostali włączeni w te nowe plany. Decyzja ewakuowania się ze Lwowa zapadła. Pozostawało jednak do przygotowania wykonanie tego planu. Naturalnie cały szereg osób wyjechało wcześniej. Kierownictwo polityczne, rzecz oczywista chciało pozostać na miejscu możliwie jak najdłużej aby czuwać nad wykonaniem pewnych czynności i funkcji związanych z tym postanowieniem. Trzeba było zorganizować własny transport. Ja wróciłem z powrotem do naszej bryczki, którą znalazłem w Wólce, wraz z tą samą parą koni. Przygotowania były zrobione wcześniej, żeby można było wyruszyć w ciągu dwudziesto-czterech godzin po decyzji wyjazdu. Karawana

profesora Grabskiego była większa bo zabierał całą swoją rodzinę, z żoną, córkami i najmłodszym synem. Starszy syn który wymarszerował z Legionem Wschodnim do tej pory nie wrócił. Pomocnym w tym wszystkim był poseł narodo-demokratyczny do sejmu Tamal. Był to wieśniak który zjawił się w Wólce z dużym porządnym wiejskim wozem i świetną parą koni. Do tej partii z swoim środkiem dołączył się też przewodca stronnictwa narodowego lwowskiego, pan Jan Pawlikowski ze swoim synem. Jeszcz było parę innych osób których nazwisk nie pamiętam.

Punktem docelowym był Kijów. Ruszyliśmy w kierunku na Brody. Kolumna nasza szła dość wolno ale bez większych trudności. Z Brodów skierowaliśmy się na północ, na Wołyń. Pierwszym punktem do którego dążyliśmy po tych piaskach wołyńskich do majątku krewnych Grabskich koło Łucka. Tam zatrzymaliśmy się parę dni na odpoczynek. Tam rodzina profesora została na miejscu, a profesor z nami wyruszył dalej. Spotkaliśmy się z resztą uczestników naszej karawany, dotarwszy nad rzekę Horyń, do miejscowości Sławiki nad rzeką Horyń⁵. Było to koniec czerwca i ta miejscowość letniskowa z wilami, pustymi w czasie wojny. Wynajęte zostały mieszkania ażeby po wypoczynku zrobić dalszy plan ewakuacji. Oczywiście nikt nie myślał koźmi dojechać do samego Kijowa, to było za daleko. Trzymaliśmy własny transport do czasu gdy można było skorzystać z komunikacji kolejowej.

W międzyczasie ofensywa niemiecka, po uwolnieniu Przemyśla, dojściu do Lwowa, poszła dalej na wschód i zatrzymała się mniej więcej na linii Zbrucz - Stochód, na wschód od Tarnopola, zachód od Łucka, do Pinska. Tam front na jakiś czas się ustabilizował. Mu już nad Horyniem znaleźliśmy się w kraju w którym mało się wiedziało o wojnie i nie widziało się śladu ani skutków jej. Profesor Grabski wyjechał na krótki czas do Piotrogradu. Nasza karawana została tutaj rozwiązana i stamtąd w jakiś czas udaliśmy się do Kijowa normalnym transportem, pociągiem. W Kijowie już od kilku tygodni była znaczna grupa Lwowian z nami związanych tak czy inaczej. Przyjechawszy do Kijowa znaleźliśmy wówczas pewne oparcie i pomoc w znalezieniu mieszkań.

Tak więc zaczął się nowy okres mojego życia. Lwów opuszczałem z prawdziwym żalem. Choć mieszkałem tam nie pełne pięć lat, jednakowoż zupełnie wrosłem w ten gród. Związałem się z Lwowem pod wielu względami i zdawało się, że na zawsze. Wyjeżdżając ze Lwowa nie przyszło mi na myśl że nigdy więcej nie wrócimy, w każdym razie na stałe zamieszkanie. Za czasów lwowskich stałem się prawdziwym lwowianinem, wsiąkłem w tamte życie. Jeżeli się różniłem czymś od rodzinnych Lwowian to tylko tym że nie nabrałem lwowskiego akcentu, nie nauczyłem się używać lwowskiej gwary.

###

Wszelkie prawa zastrzeżone C 2009 B.C.Biega

Ciąg dalszy: Część 2 - Kijów

⁵ Horyń to rzeka dopływająca do Prypeci, leży na wschód od miasta Równe

